„ORZEŁ BIAŁY“ ("WHITE EAGLE") 19th June 1954. Price 1/3 ($0.20)

ORZEŁ BIAŁY

ZWYCIĘŻYMY

Polska walcząca o wolność

ROK XIV SOBOTA, 19 CZERWCA 1954 R. NR. 25 (624)

Na martwym punkcie

W niezmiernie trudnej i skomplikowanej sytuacji, która wytworzyła się w naszej polityce wewnętrznej po dniu 9 czerwca, kilka osób, przedstawiających opinię Prezydenta Augusta Zaleskiego, podjęło starania o znalezienie wyjścia z impasu. Celem zasadniczym tych starań była zrozumiała sprawa uratowania legalizmu i zapewnienia mu warunków normalnego działania.

Rozmowy, które w związku z tym prowadzono w ciągu ostatnich paru dni, utrzymywane były oczywiście w tajemnicy. Wiadomo było wszakże, że jedyne rozwiązanie trudności widziano w konstytucyjnym ogłoszeniu istniejącego aktu prawnego, wyznaczającego generała Władysława Andersa Następcą Prezydenta Rzeczypospolite i w przekazaniu mu władzy przez Prezydenta Augusta Zaleskiego.

Wyjście takie wydawało się istotnie najprostsze i najłatwiejsze do wykonania dla wszystkich, a przede wszystkim dla samego Prezydenta. Jest publiczną tajemnicą, że Prezydent Rzeczypospolitej już w roku 1950 (po śmierci ś.p. premiera T. Tomaszewskiego) wyznaczył gen. Władysława Andersa swoim Następcą. Odnośny akt prawny nie został jednak ogłoszony w sposób przewidziany w Konstytucji.

W dniu 7 stycznia 1953 roku Prezydent Rzeczypospolitej August Zaleski wystosował do gen. K. Sosnkowskiego list, w którym wyraził gotowość bezzwłocznego wyznaczenia go swoim Następcą na podstawie ówczesnych wyników przeprowadzonej w tej sprawie konsultacji stronnictw i ugrupowań politycznych. W liście tym Prezydent Zaleski stwierdził m.in.:

„Jak Panu Generałowi wiadomo, do tej pory otrzymanie opinii od niektórych stronnictw w sprawie wyznaczenia Następcy Prezydenta było niemożliwe. Pomimo to uważałem, że nie wolno mi ani na chwilę narażać ciągłości Państwa Polskiego i wyznaczyłem swego Następcę. Z początku był nim ś. p. Tadeusz Tomaszewski, a po jego śmierci — p. Generał Władysław Anders, który przyjął ten obowiązek tylko chwilowo, gdyż pragnie poświęcić się wyłącznie sprawom wojskowym“.

„Na skutek obecnie odbytej konsultacji wytworzyła się taka sytuacja, że Następcą Prezydenta wyznaczonym moim aktem jest Generał Anders, a Pan Generał posiada zgodę stronnictw i ugrupowań politycznych na tę samą godność“.

W odpowiedzi z dnia 7 stycznia 1953 roku gen. K. Sosnkowski prosił Prezydenta Rzeczypospolitej o odroczenie wyznaczenia go Następcą Prezydenta do czasu, gdy zostaną z jego udziałem ustalone i „przyjęte przez oba ośrodki obozu niepodległościowego warunki jego zjednoczenia“. Gen. Sosnkowski w tym samym liście pisał dalej:

„Doceniam w całej pełni troskę Pana Prezydenta o zachowanie ciągłości Państwa Polskiego. Wobec istnienia aktu Pana Prezydenta, wyznaczającego Pana Generała Władysława Andersa następcą, wytworzony przez ten akt stan prawny musiałby być utrzymany aż do chwili osiągnięcia jedności narodowej i ogłoszenia dekretu nominacyjnego dla mnie“.

„W tej sytuacji — moim zdaniem — nie mogą powstać nieobliczalne skutki dla legalnego istnienia Państwa Polskiego“.

Jak wynika z tej korespondencji, ogłoszenie aktu, w którym Prezydent Zaleski przed czterema laty wyznaczył gen. Władysława Andersa swoim Następcą i natychmiastowe przekazanie temu Następcy władzy byłoby — wobec odmowy nominacji gen. Sosnkowskiego — rozwiązaniem najbardziej logicznym i zgodnym z wyrażoną w r. 1950 decyzją Prezydenta. Oczywiście dla gen. Władysława Andersa przyjęcie w tak ciężkich chwilach obowiązków Prezydenta Rzeczypospolitej — od czego jako Generalny Inspektor Sił Zbrojnych uważał zawsze za wskazane się uchylać — byłoby również ofiarą osobistą, złożoną na rzecz legalizmu w okresie ciężkiego kryzysu.

Niestety, rozmowy prowadzone w tych sprawach, zakończyły się we wtorek 15 czerwca bez wyniku. Okazało się bowiem, że Prezydent August Zaleski postanowił swego urzędu nie składać, stawiając odległy termin ewentualnego dokonania tego aktu.

R. P.

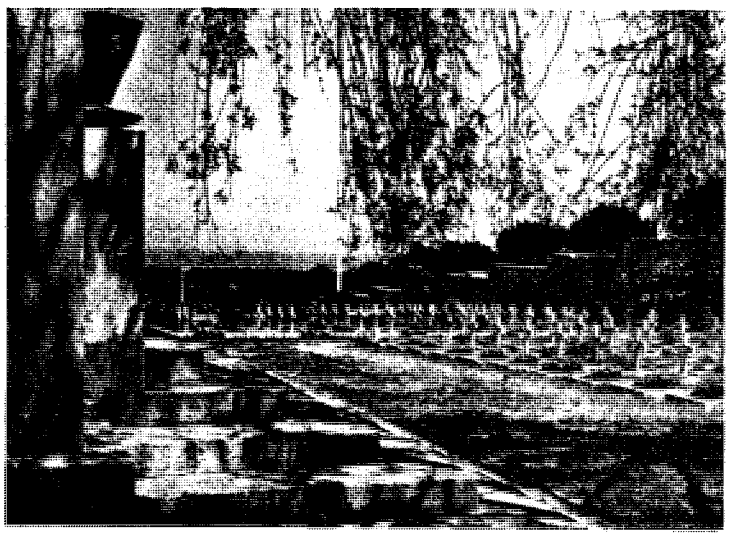

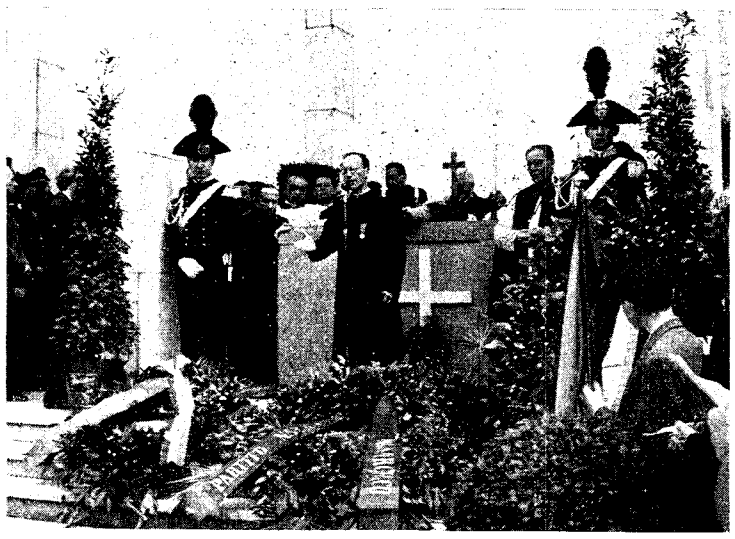

Z MIEJSC SPOCZYNKU ŻOŁNIERZY 2. KORPUSU WE WŁOSZECH
CMENTARZ W LORETO — UROCZYSTOŚCI PIELGRZYMIE W BOLONII

Fiasko konferencji genewskiej

W PONIEDZIAŁEK, dn. 14 czerwca, Eden stwierdził, iż osiągnięcie jakichkolwiek wyników przez dalsze przedłużanie obrad jest wątpliwe i zaproponował zawieszenie rozmów politycznych w sprawach indochińskich do czasu, gdy rozmowy wojskowe doprowadzą do uzgodnienia warunków zawieszenia broni. Równocześnie 16 państw, które brały czynny udział w wojnie koreańskiej przeciw komunistom, też doszły do wniosku, iż dalsze rokowania są bezcelowe, o czym już ogłosił odpowiedni komunikat.

Tak więc główny po stronie Zachodu zwolennik genewskiej konferencji oraz faktycznie główny na tej konferencji przedstawiciel Zachodu wystąpił z wnioskiem o zakończenie rokowań. Wznowienie bowiem raz zawieszonych rozmów będzie praktycznie niemożliwe. W istocie kres konferencji genewskiej położył parlament francuski, obalając rząd Laniela. Skoro Francja nie ma rządu, to nie ma też komu rokować w Genewie w jej imieniu.

Decyzja parlamentu francuskiego oznacza, iż francuscy politycy nie wierzą, by istniała obecnie możliwość osiągnięcia w Genewie znośnego dla Francji rozstrzygnięcia politycznego sprawy Indochin. Wojska komunistyczne przygotowują się do ataku na Hanoi, nie zważając na rokowania w Genewie. Obalenie rządu Laniela może uchodzić za wyraz gotowości do większych ustępstw wobec komunistów. Francja musi prowadzić na tyle energiczne działania wojskowe, by uratować od zagłady swój korpus ekspedycyjny oraz życie swych licznych obywateli w Hanoi. Bez względu na następne rozwiązania polityczne, w zakresie wojskowym musi ona uczynić wszystko, by nie ponieść zdecydowanej klęski wojskowej i wycofać niezniszczone żywe siły wojskowe.

Znawcy życia politycznego Francji powiadają, że rząd Laniela został obalony nie z powodu Indochin, lecz ze względu na jego gotowość zatwierdzenia umowy o Europejskiej Wspólnocie Obronnej. Dulles jakoby zgodził się w Berlinie na konferencję genewską właśnie w tym celu, by uratować rząd Laniela z uwagi na jego przychylne stanowisko do sprawy E.W.O. Politycy francuscy ucieszyli się raczej z konferencji genewskiej, lecz widząc, że nie daje rezultatu obalili Laniela. A zatem, można powiedzieć, że politycy francuscy, przeciwni E.W.O. na razie udaremnili manewr Dullesa.

W prasie amerykańskiej spotykamy poglądy, że prestiż Edena jako dyplomaty ucierpiał z powodu niepowodzenia konferencji genewskiej wewnątrz i na zewnątrz W. Brytanii. Ten pogląd wydaje się dużym uproszczeniem zagadnienia. Być może, amerykańska opinia uważa, że Eden przegrał swoją grę w Genewie. Podobnie opinia brytyjska uważała opuszczenie konferencji genewskiej przez Dullesa za jego dyplomatyczną klęskę. Lecz opinii brytyjskiej ciągle potrzeba coraz to nowych dowodów nieustępliwości komunistycznej i oto Eden dostarczył jej tych dowodów. Okazywał on tak demonstracyjnie swoją chęć osiągnięcia porozumienia ze stroną komunistyczną, że opinia brytyjska nie obciąży go odpowiedzialnością za brak porozumienia. Podobnie przedstawia się sprawa w neutralnych i neutralistycznych państwach azjatyckich.

WARTO zwrócić uwagę na argument, jakiego użył Eden dla przeciwstawienia się komunistycznym dążeniom do zagarnięcia pod swoje wpływy Laosu i Kambodży. Podkreślił, że historycznie Vietnam należał kiedyś do strefy politycznych i kulturalnych wpływów Chin, natomiast Laos i Kambodża znajdowały się w orbicie kulturalnych wpływów Indii. Komuniści, powiedział Eden, chcą przekroczyć granicę chińskich wpływów i wtargnąć w granice strefy wpływów indyjskich.

Wytrawny polityk i dyplomata, a Eden jest nim bezspornie, nie robi w politycznej mowie wycieczek w kierunku historii bez praktycznej potrzeby. W Genewie przebywał przez trzy tygodnie osobisty wysłannik premiera Nehru, p. Kriszna Menon. Odbywał on długie rozmowy z Edenem i powyższe zdanie mogło być podsunięte Edenowi przez przedstawiciela Indii. Indie zaś, jak już pisaliśmy niedawno, zaczęły się ostatnio niepokoić chińskimi dążeniami do ekspansji. Laos i Kambodża zamierzają podobno wnieść do O.N.Z. skargę na napaść komunistycznych wojsk Vietminhu, zaopatrywanych w broń przez komunistyczne Chiny. Jeżeli konferencja genewska zostanie zerwana, to również sprawy Korei, a być może i Vietnamu, wejdą na porządek dzienny O.N.Z. Wtedy Indie będą mogły zabrać głos oficjalnie, bo w konferencji genewskiej nie brały udziału.

(Dokończenie na str. 8-ej)

Oświadczenie Komisji Porozumiewawczej

Otrzymaliśmy następujące oświadczenie Komisji Porozumiewawczej:

Akt prawny Prezydenta R.P. z dnia 16 maja 1953 r. ustalający koniec sprawowania przez niego urzędu, połączony był z zapowiedzią przekazania urzędu w ręce swego następcy, wyznaczonego zgodnie z postanowieniami art. 13 b i 24 Konstytucji z uwzględnieniem oświadczenia śp. Prezydenta Władysława Raczkiewicza z dnia 30 listopada 1939 r.

Decyzja ta jest prawnie nieodwołalna, albowiem została podjęta w zakresie wykonania ustawy konstytucyjnej, która według własnego oświadczenia Prez. Zaleskiego interpretowana była przez niego zgodnie z zasadami słuszności i intencją prawodawców. Ustalił on w ten sposób, że kadencja Prezydenta R. P. na obczyźnie nie może trwać dłużej niż lat siedem. Termin tej kadencji upłynął dnia 9 czerwca 1954 r.

Prez. Zaleski nie wyciągnął z tego faktu właściwych konsekwencji, narażając przez swe oświadczenie z dnia 8 czerwca 1954 r., pozbawione nie tylko podstaw prawnych ale i moralno-politycznych, ciągłość prawną władz państwowych na najcięższą próbę.

W tych warunkach Komisja Porozumiewawcza stwierdza, że dnia 9 czerwca 1954 r. skończyła się kadencja p. A. Zaleskiego na urzędzie Prezydenta R. P.

W ciągu pełnych siedmiu lat swego urzędowania Prez. Zaleski nie wyznaczył następcy w sposób prawem przepisany, łamiąc konstytucję, którą zaprzysiągł stosować.

W celu doprowadzenia do realizacji Aktu Zjednoczenia oraz dla zapobieżenia skutkom kryzysu państwowego na najwyższym szczeblu Komisja Porozumiewawcza Stronnictw i Ugrupowań Politycznych postanowiła zwołać w najbliższym czasie Tymczasową Radę Jedności Narodowej z uwzględnieniem składu przewidzianego w Akcie Zjednoczenia.

Londyn, dnia 10 czerwca 1954.

Amerykańska Komisja Kongresowa działa w Londynie

W poniedziałek 14 bm. o godz. 10 rano rozpoczęło się w Londynie przy drzwiach zamkniętych przesłuchiwanie świadków przez Komisję Izby Reprezentantów Kongresu Stanów Zj., badającą podboje i gwałty sowieckie. Pierwszego dnia zeznawali wyłącznie świadkowie polscy. Ambasadorowie W. Grzybowski i E. Raczyński mówili o międzynarodowych układach, złamanych przez Rosję Sowiecką we wrześniu 1939, gdy uderzyła na Polskę po porozumieniu z hitlerowskimi Niemcami. Pierwszy z nich przedstawił m.in. swoje dramatyczne rozmowy w Moskwie, jako ambasador Polski, któremu dnia 17 września 1939 nad ranem doręczono notę, zawiadamiającą o przekroczeniu przez armię czerwoną wschodnich granic Rzeczypospolitej.

Tego samego dnia p. E. Chański zeznawał na temat wymordowania we Lwowie tysięcy więźniów przez cofających się w lecie 1941 bolszewików. P. M. Szeliga przedstawiła los polskich dzieci wywiezionych w latach 1939-41 do Rosji. Wreszcie ks. Pieniacki złożył zeznanie o torturach, którym był poddany przez NKWD i o swoich spostrzeżeniach, odnośnie losu religii na terenach sowieckiego panowania. Ponadto stanęły przed Komisją dwie Polki, byłe komunistki, które niedawno wybrały wolność i przebywają obecnie w Szwecji.

★

Wtorek nie był dniem polskim. Jako pierwszy stanął przed Komisją król Rumunii Michał, którego wysoce interesujące zeznania zajęły całe przedpołudnie. W sposób lakoniczny i spokojny, choć z widocznym wzruszeniem, przedstawił on tragiczny los swego kraju i własne przeżycia po opanowaniu Rumunii przez wojska sowieckie, aż do wymuszenia przez Wyszyńskiego abdykacji. Po południu zeznawali kolejno: b. minister czeski J. Stransky, dr. Vilem Bernard również Czech, a dalej Litwin Juozas Skeckus, który podawał szczegółowe, sensacyjne dane o narzędziach tortur, używanych przez NKWD.

W charakterystyczny sposób wypłynęła przy zeznaniach Czechów sprawa Mikołajczyka. Na zapytanie republikańskiego członka Komisji F. E. Busbey min. Stransky odpowiedział, że politycy czescy z Beneszem na czele poszli na współpracę z Sowietami z konieczności i pod presją mocarstw zachodnich, którzy uważali wówczas ZSRR za sojusznika; wspomniał przy tym, że podobnie postąpił spośród Polaków Mikołajczyk. W tym momencie poseł T. Machrowicz postawił Stransky'emu szereg pytań, na które polityk czeski musiał wyraźnie przyznać, że rząd polski nie uległ tej samej presji mocarstw zachodnich i nie poszedł nigdy na współpracę z Moskwą, za co został jednak ukarany cofnięciem uznania w r. 1945 ze strony tychże mocarstw. Mikołajczyka spotkał następnie, jak wiadomo, ten sam los co kollaborantów beneszowskich.

Sprawozdania z dalszych przesłuchów Komisji, które kończą się 19 bm., podamy w następnym numerze.

(S)

ANDRZEJ TOMICKI

DZIWNA PARTIA „LIBERALNA"

NIEMIECKA „Wolna Partia Demokratyczna„ zwana w skrócie „F.D.P." (*„Freie Demokratische Partei"*), o której w ostatnim czasie jest dość głośno w Niemczech i zagranicą z powodu jej wystąpienia za nawiązaniem przez Niemcy Zachodnie stosunków i rozmów z Rosją i z państwami bloku wschodniego, zalicza się do stronnictw tak zwanych „liberalnych", których źródła sięgają prądów oświecenia w wieku 18. W Niemczech liberalizm polityczny dzielił się już przed rokiem 1914 na dwie odnogi, z których jedna była silnie nacjonalistyczna i liberalizm stosowała głównie na polu gospodarczym (*„National-Liberale Partei"*), a druga skłaniała się znacznie wyraźniej ku lewicy (tak zwani „postępowcy"). Te dwa prądy liberalne utrzymały swoją odrębność również po roku 1918. Dawni „Narodowi Liberałowie" utworzyli po pierwszej wojnie światowej tak zwaną „Niemiecką Partię Ludową", której najbardziej znanym przywódcą był Gustaw Stresemann. Lewicowy prąd liberalny zorganizował się ostatecznie w roku 1930 w tak zwanej „Partii Państwowej" („Staatspartei"). Organami prasowymi, wyrażającymi poglądy „Staatspartei", były znane bardzo dzienniki *„Berliner Tageblatt"* oraz *„Vossische Zeitung"*.

Podział ten odpowiadał mniej więcej dwom gałęziom wolnomularstwa, którego partie liberalne są naogół politycznym ramieniem, a które w Niemczech dzieliło się na tak zwane „loże staropruskie" — n.p. znana loża *„Zu den drei Weltkugeln"* — oraz loże tak zwane „humanitarne", których charakter odpowiadał bardziej francuskiemu *„Wielkiemu Wschodowi"*. Do lóż „staropruskich" należało sporo osób, wywodzących się z kół nacjonalistycznych i społecznie dosyć prawicowych, a także bardzo wielu duchownych protestanckich. Loże staropruskie nie przeciwstawiały się bowiem chrześcijańskim wyznaniom protestanckim. Natomiast tak zwane loże „humanitarne" grupowały żywioły bardziej lewicowe a wpływową rolę grały w nich niemieckie koła żydowskie.

Wolnomularstwo było w Niemczech organizacją bardzo rozgałęzioną i nie było zwalczane. Nie ukrywało ono też zgoła swego istnienia. Poszczególne loże posiadały nie tylko w dużych, ale nawet w licznych pomniejszych miastach swoje gmachy, które służyły nie tylko jako miejsce zebrań dla „wtajemniczonych", ale często spełniały również rolę klubów towarzyskich. Gmachy te były nieraz bardzo okazałe, jak chociażby n.p. ogromny budynek loży — bodajże *„Zu den drei Weltkugeln"* — przy Eisenacherstrasse w Berlinie. Przypominam sobie też piękny stary dom z 17-go wieku w starożytnym mieście Goslar w górach Harzu, w którym mieściła się loża wolnomularska. Dom ten nawet zwiedziłem, oprowadzany przez żonę portiera. Rozmowna niewiasta pokazała mi w jednym z pierwszych pokoi rząd szafek pod ścianą, w których poszczególni „bracia" chowali swoje rytualne odznaki, przywdziewane podczas posiedzeń i obrzędów, a także bibliotekę, która, jak twierdziła, zawiera spisy wolnomularzy z całego świata. Jedynie tak zwana „świątynia" (*„Tempel"*) była zamknięta i nawet ona do niej dostać się nie mogła, bo wstęp mieli tylko wolnomularze. Sprzątał ją więc jej mąż, który był „bratem", i on też miał do niej klucz, którego jej nie dawał. Jak się zdaje, zacną niewiastę bardzo to gniewało i być może, że właśnie dlatego i dzięki nieobecności tego srogiego męża i pustce, panującej wówczas w gmachu, zdecydowała się obcego jej zupełnie człowieka po gmachu oprowadzić. Nic zresztą specjalnie interesującego nie widziałem — zwiedzane pokoje przeznaczone były raczej dla celów towarzyskich.

Oczywiście loże niemieckie nie ograniczały swojej działalności do urządzania zabaw — i pamiętam sensację, jaką wywołał swego czasu w kołach prasy zagranicznej artykuł *„Berliner Tageblattu"* o jednym z posiedzeń Ligi Narodów. Było to w okresie prób zbliżenia niemiecko-francuskiego i przemawiali na tym posiedzeniu Briand i Stresemann. Publicysta *„Berliner Tageblattu"* najspokojniej stwierdził, że obydwaj mówcy robili przemawiając, rękoma znaki wtajemniczenia wolnomularskiego. Dla publicystów i wybitniejszych sprawozdawców *„Berliner Tageblattu"*, *„Vossische Zeitung"* i niektórych innych pism niemieckich nie były one oczywiście tajemnicą.

Dopiero Hitler po dojściu do władzy w myśl swojej „ideologii" wydał zakaz należenia do lóż wolnomularskich i loże zamknął. Próbowały się one ratować szukając nowej postaci organizacyjnej, postanowiły zamienić się — w rodzaj zakonów. Ogłosiły nawet nazwę nowej organizacji. Brzmiała ona — Zakon Templariuszy (*„Der Templerorden"*)! Przybranie tej nazwy było rzeczą ciekawą, wywoływało bowiem w umyśle mimowoli skojarzenie ze spotykanym nieraz twierdzeniem, jakoby wolnomularstwo przywiezione zostało we wczesnym średniowieczu ze wschodu właśnie przez rycerski zakon Templariuszy, rozwiązany, jak wiadomo, w latach 1307—1312 na rozkaz papieża Klemensa V. Nie pomogła jednak zmiana nazwy i loże zostały zamknięte, aczkolwiek niektórzy wolnomularze odgrywali jeszcze w Trzeciej Rzeszy poważną rolę — jak chociażby znany prezydent Banku Rzeszy dr. Hjalmar Schacht, który w swoich niedawno ogłoszonych pamiętnikach otwarcie pisze o sobie jako o wolnomularzu i podaje nawet rok swego wstąpienia do loży.

Po zawaleniu się Trzeciej Rzeszy przywrócono wolnomularstwu w Zachodnich Niemczech w roku 1945 prawo organizowania się i istnienia. W roku 1946 utworzono we Frankfurcie nad Menem organizację współpracy poszczególnych lóż, a w roku 1949 powstała Zjednoczona Wielka Loża Wolnomularzy Niemiec. W ten sposób, dawniejsze loże staropruskie i loże humanitarne utworzyły, jak się zdaje, jedną organizacyjną wspólnotę.

Być może, że ten fakt jest też powodem, że istnieje dzisiaj w Niemczech Zachodnich jedna tylko partia liberalna, i to właśnie wymieniona powyżej *„Wolna Partia Demokratyczna"*. Jakie w niej zwyciężyły prądy? Czy bardziej lewicowe, wywodzące się z dawnych lóż „humanitarnych", czy też prądy „staropruskie"? Jak dotychczas, odnosi się wrażenie, że prądy „staropruskie" wyciskają na niej dość wyraźne piętno. Liberalizm tej partii wyraża się na ogół tylko w dziedzinie gospodarczej. Tradycje wieku oświecenia podtrzymuje ona nie w dziedzinie „braterstwa ludów", lecz tylko w dość zresztą umiarkowanym „antyklerykalizmie". Za to politycznie nawiązuje *„F.D.P."* wyraźnie do linii dawnej partii „narodowo-liberalnej" z czasów cesarskich, względnie do późniejszej „Niemieckiej Partii Ludowej" Stresemanna. O wolnościowych ideałach z roku 1848 nie mówi się zupełnie. Wyblakły one zresztą już w liberalizmie niemieckim w drugiej połowie 19 wieku.

Jakże znamiennym dla jej dzisiejszego charakteru — a jednocześnie jakże zdumiewającym, skoro mowa o partii „liberalnej" — jest fakt, że ta rzekomo „liberalna" partia otworzyła szeroko swoje drzwi dawnym hitlerowcom, którzy — przypominamy zeszłoroczną słynną sprawę byłego sekretarza stanu Goebbelsa, Naumanna i towarzyszy — zaczęli napływać do jej szeregów z zamiarem opanowania jej i uzyskania w ten sposób ponownie wpływu politycznego w Niemczech. To zorganizowane przenikanie hitlerowców do *„Wolnej Partii Demokratycznej"* (Niemcy wynaleźli na to po wojnie wyrażenie *„unterwandern"*, to znaczy dosłownie: „podwędrować") dokonywało się za wiedzą i zgodą niektórych wybitnych przywódców partii i skończyło się — przynajmniej na zewnątrz — dopiero wtedy, gdy wybuchnął jawny skandal. Niemniej fakt ten rzucił bardzo charakterystyczne światło na dziwnie dwuznaczny charakter tej rzekomo „liberalnej" partii niemieckiej, której drugi wiceprzewodniczący, dr. Fryderyk Middelhauve, otacza się dotychczas ludźmi o wyraźnej przeszłości hitlerowskiej, i usiłuje wycisnąć na niej coraz silniej znamię partii prusko-nacjonalistycznej. Dla osób, które rozeznają się w niemieckich stosunkach prasowych Trzeciej Rzeszy, może nie będzie bez wymowy fakt, że w bliskich stosunkach z dr. Middelhauve pozostaje również bardzo kiedyś znany hitlerowiec Hanfstaengel, wyznaczony swego czasu przez „Führera" do kontaktów prasowych. Do tego samego koła należy dr. Achenbach, w czasie wojny członek ambasady słynnego Abetza w Paryżu. Rola dr. Achenbacha we wspomnianej powyżej sprawie Naumanna wywołała przed rokiem ogromne poruszenie.

Jeżeli dodamy, że obecny przewodniczący partii dr. Dehler jeszcze jako minister sprawiedliwości rządu w Bonn na kongresie *„Wolnej Partii Demokratycznej"* w listopadzie 1952 opowiedział się za wskrzeszeniem Prus, które jego zdaniem „w odbudowanej Rzeszy Niemieckiej spełnią swój obowiązek, polegający na podtrzymaniu kultury zachodniej w Europie Środkowej", będziemy mieli mniej więcej obraz prądów, które nurtują to dość dziwne stronnictwo.

★

CHARAKTER jego nie jest podobny do rzeczywiście liberalnych stronnictw Francji, Anglii, Belgii i innych krajów. Istnieje w nim wprawdzie skrzydło bardziej lewicowe i bardziej zbliżone do rzeczywistego liberalizmu, ale jak się zdaje, nie wiele ono ma do powiedzenia. W ogóle zaś jest rzeczą niejasną, jak żywioły, które na całym świecie były i są bezkompromisowo przeciwne hitleryzmowi i które nadają ton partiom liberalnym innych krajów, godzą się w niemieckiej partii liberalnej, to znaczy w *„Wolnej Partii Demokratycznej"* z tendencjami, które trudno jest z rzeczywistym liberalizmem pogodzić, a których charakter z braku miejsca tylko z grubsza naszkicowaliśmy. Należy to do jednej z wielu zagadek duszy niemieckiej, która tak liczne chowała i chowa dotychczas dla przeciętnego Europejczyka niejasności.

Ale na tle tych tendencyj należy dopiero rozważyć ostatnie oświadczenia wybitnych członków „Wolnej Partii Demokratycznej" i uchwałę jej zarządu, domagającą się nawiązania stosunków z Rosją. Zajmiemy się nimi w następnym artykule.

KRONIKA WOJSKOWA

WIELKA BRYTANIA. W centrum broni pancernej Larkhill, w hrabswie Dorset, odbył się w pierwszej połowie maja pokaz wszystkich powojennych typów broni pancernej, z wyjątkiem najnowszego i najcięższego czołgu **„Conqueror"**. Pokazowi temu przyglądali się attaché wojskowi 18 państw niekomunistycznych. Attachés wojskowych spoza żelaźnej kurtyny nie dopuszczono. Zademonstrowano m. in. ciężkie czołgi **„Caernarvon"**, ważące 60 ton, średnie czołgi **„Centurion III"** i **„Centurion VII"**, ważące około 50 ton, oraz lekki czołg **„Charioteer"**, uzbrojony w działo 20-funtowe i zdolny do rozwijania szybkości 32 mil na godzinę. Czołg ten ma nieco ulepszone podwozie dobrze nam znanego **„Cromwella"**. Spośród nowych samochodów pancernych największe zainteresowanie wywołały: sześciokołowy opancerzony transportowiec **„Saracen"** i jego bojowa odmiana **„Saladin"**. Nowy samochodzik opancerzony **„Ferret"** wyróżniał się wśród lekkich pojazdów. Rozwija on szybkość do 58 mil i stanie się niebawem podstawowym pojazdem rozpoznawczym i łącznikowym wojska brytyjskiego. Również pokaz strzelania w ruchu, przeprowadzony przez pluton **„Centurionów"** wypadł znakomicie. Co do niepokazanego gościom najcięższego czołga **„Conqueror"** warto dodać, że jego fotografie zostały wprawdzie ostatnio w prasie brytjskiej opublikowane, ale jego dane techniczne są nadal trzymane w tajemnicy. Ma on niską i zgrabną sylwetkę, bardzo szerokie gąsienice i niezwykle długą lufę średniokalibrowego działa. Prasa brytyjska wyraża przypuszczenie, że działo to ma kaliber 120 mm (jak sowieckie **„Staliny"**) i elektroniczne przyrządy celownicze.

Wspominałem już kiedyś o nowym brytyjskim dziale przeciwpancernym **„Bat"**. Dziś mogę podać nieco szczegółów technicznych. Działo to jest niewątpliwie potężniejsze od jego amerykańskiego odpowiednika 105 mm, bo ma kaliber 120 mm i strzela jakimiś rewelacyjnymi pociskami, których właściwości trzymane są w tajemnicy. Jest od niego cięższe, ale waży tylko 1 tonę, czyli znacznie mniej niż znana nam dobrze „17-funtówka". Tłumaczy się to nie tylko lekką budową lufy i brakiem oporopowrotnika, ale także niskością całego działa (zaledwie 1,2 metra). Obsługa składa się z 4 żołnierzy, a ciągnikiem jest zwykły **„jeep"**.

Mało znana fabryka lotnicza **„Folland"** eksperymentuje z niezwykle małym i lekkim samolotem intercepcyjnym **„Gnat"**. Eksperymenty te przeprowadza, jak się zdaje, bez poparcia brytyjskiego ministerstwa zaopatrzenia. Tym żywiej interesuje się nimi amerykańska prasa fachowa i podobno także Pentagon. Wspomniany samolot ma ważyć tylko 6.000 funtów (wobec 16.000 funtów **„Sabre"**) i ma kosztować, o ile produkcja przekroczy 50 na miesiąc, zaledwie 70.000 dolarów, gdy **„Sabre"** kosztuje około 300.000. Rozpiętość jego skrzydeł jest niemal o połowę mniejsza niż **„Sabre"** (20 wobec 37 stóp). Mimo to ma mieć nieco wyższy pułap (około 50.000 stóp), sięgany rzekomo w ciągu 4 minut, i większa, bo ponaddźwiękową, szybkość.

Marynarka wojenna otrzymała już eskadrę helikopterów amerykańskich, przeznaczonych specjalnie do zwalczania okrętów podwodnych. Niezależnie od tego ministerstwo zaopatrzenia zamówiło około 100 podobnych helikopterów brytyjskiego typu **„Bristol 173"** dla floty i wojska.

Znane naszym lotnikom, zwłaszcza z okresu „battle of Britain", podlondyńskie lotnisko Northolt przejdzie dnia 1 listopada znów do dyspozycji RAF, niewątpliwie w związku z koniecznością wzmocnienia osłony Londynu.

Nominacja gen. Templera, dotychczasowego naczelnego dowódcy i pełnomocnika brytyjskiego na Malajach, na dowódcę sił brytyjskich w Niemczech została ostatnio przez War Office odwołana, choć gen. Templer już Singapore opuścił. W związku z tym poważna prasa brytyjska wyraża przekonanie, że wybitny ten i stosunkowo młody generał, liczący zaledwie 55 lat, przewidziany jest na inne, wyższe stanowisko. Wymienia się trzy możliwości: 1) naczelne dowództwo sił paktu Dalekiego Wschodu, o ile do takiego paktu dojdzie, 2) szefostwo sztabu imperialnego, co prawda dopiero w listopadzie przyszłego roku, gdy marszałek Harding przejdzie w stan spoczynku, 3) bliżej nieokreślone „wysokie stanowisko" w naczelnym dowództwie sił atlantyckich (na miejsce marszałka Montgomery?).

Sensacyjna wiadomość „Daily Express" z 3 maja, że W. Brytania podjęła doświadczenia z bombą wodorową, której produkcja będzie daleko łatwiejsza i tańsza niż amerykańskiej, nie została oficjalnie ani potwierdzona ani zdementowana. W związku z tym przypominam, że już po ostatnim wybuchu brytyjskiej bomby atomowej w Australii (26 października ub. roku) niektóre organa brytyjskie próbowały (w sposób mniej lub więcej dyskretny) dać do zrozumienia, że eksperyment ten miał raczej „wodorowe" podłoże.

Skoro mowa o broniach atomowych, warto dodać, że kontrolerem produkcji atomowej z ramienia ministerstwa zaopatrzenia został znany generał Morgan i że w Australii odkryto bogate złoża wysokoprocentowej rudy uranowej, tym razem w pobliżu Adelaide. **Kage.**

NOWE PRZEPISY MELDUNKOWE W WARSZAWIE

Reżymowy „Dziennik Ustaw" z dnia 12 maja br. ogłosił nowe rozporządzenie w sprawie „zmiany przepisów meldunkowych na obszarze Wielkiej Warszawy". Rozporządzenie wprowadza trzy rodzaje meldunków dla osób, przybywających spoza Warszawy. Pierwszy rodzaj, to meldowanie się na pobyt czasowy do dwóch miesięcy. Drugi obejmuje przybyszów, zamierzających mieszkać w Warszawie nie dłużej niż pięć lat. I wreszcie trzeci rodzaj obejmuje zameldowanie się na okres stały. Pozwolenia na zamieszkanie w Warszawie przez pięć lat lub na stałe udziela, po przeprowadzeniu odpowiednich dochodzeń, prezydium stołecznej „Rady Narodowej" i to pod warunkiem posiadania w Warszawie stałej pracy.

Powodem wprowadzenia nowych przepisów, wymagających pozwolenia na zamieszkanie w Warszawie, jest nie tylko brak mieszkań, ale również specyficzna polityka reżymu warszawskiego. Polityka ta dąży do przekształcenia Warszawy w ośrodek urzędniczy i komunistyczny. W Warszawie mają mieszkać urzędnicy państwowi i partyjni, członkowie partii i aktywiści oraz robotnicy, potrzebni do utrzymania na odpowiednim poziomie produkcji przemysłowej. Przy uzyskaniu prawa zamieszkania w Warszawie zaświadczenia partyjne odgrywają wielką rolę. (IC)

KSIĄŻKI POLSKIE

GRYF PUBLICATIONS LTD.
171, Battersea Church Rd.,
London, S. W. 11,

WE FRANCJI: „LIBELLA"
12, Rue St. Louis en l'Ile, Paris 4

zaopatruje w książki polskie mając na składzie ponad 3000 tytułów. Wysyłka natychmiast po otrzymaniu zamówienia do W. BRYTANII, STANÓW ZJEDNOCZONYCH, KANADY, AUSTRALII, BRAZYLII ORAZ INNYCH KRAJÓW

Katalogi bezpłatnie na żądanie

BOGATY DZIAŁ NOWOŚCI WYDAWNICTW WŁASNYCH I „BIBLIOTEKI KULTURY"

Stefana Korbońskiego
„W IMIENIU RZECZYPOSPOLITEJ"
Cena 25/-

Nowa wspaniała impresja literacka
MELCHIORA WAŃKOWICZA
„BYŁO TO POD MONTE CASSINO"
Cena 7/6 ($1)

Czesław Straszewicz
TURYŚCI Z BOCIANICH GNIAZD
Cena 13/-

Herminia Naglerowa
SPRAWA JÓZEFA MOSTA
Cena 12/6

GENERAŁ SIKORSKI
Opracowanie Instytutu Historycznego.
Cena 5/-

A. J. ROBINSKI
184, Holland Park Avenue, W. 11
POLECA
DUŻY WYBÓR WĘDLIN, SZYNEK I CIAST
oraz
powidła do pączków, cukier waniliowy, korzenie do ciast, czekolady, grzyby marynowane, orzechy łupane, migdały, marcepan

Po cenach najniższych
Nasz dział apteczny oferuje Klientom najważniejsze lekarstwa.

STREPTOMYCYNA 10 gr. użyteczność do listopada 1957	26/-
PENICYLINA olej. 3 milj. użyteczność do grudnia 1956	10/-
WITAMINA b-12 25 amp	14/-
RIMIFON 500 tabl.	26/-

CŁO? Co wysłać by rodzina zapłaciła najmniejszą stawkę — poradzą
NASZE KATALOGI TOWAROWE
zawierające przy każdym towarze odnośną stawkę celną.
Maszyny do szycia SINGERA za które cło w Polsce wynosi tylko 600 zł.
Zegarki CYMA. Najlepsze angielskie KAMGARNY. PLASTYKI. OBUWIE. SKÓRY. Chustki t. z. „NYLONÓWKI".
Specjalny dział paczek „Za Linię Curzona"
TAZAB LTD.
22, ROLAND GARDENS, LONDON. S. W. 7.
Największy Polski Dom Towarowy w Anglii

PCA RADIO
SKLEP I WARSZTAT RADIOTECHNICZNY SPK
PROWADZONY PRZEZ INŻYNIERÓW SPECJALISTÓW
Sprzedaż odbiorników telewizyjnych i zwykłych, przodujących marek angielskich (również na spłaty).
Własny transport.
170, GOLDHAWK ROAD, LONDON, W.12 — tel. SHE 4746.

W rocznicę męczeństwa Arcybiskupa Cieplaka

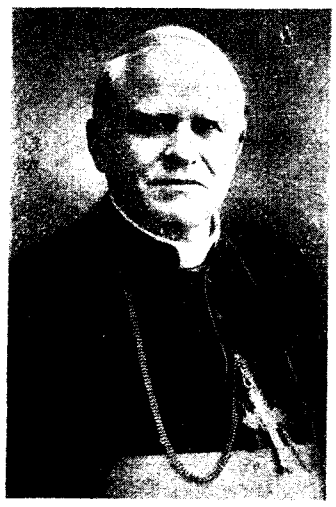

WYMIAR sprawiedliwości obrazuje najlepiej charakter państwa. Przenieśmy się na kilka chwil myślą wstecz o 31 lat. Do Moskwy. Sztuka „prania mózgów" nie jest jeszcze doprowadzona do perfekcji, obraz więc można oglądać w barwach naturalnych,

Arcybiskupa Cieplaka i czternastu podwładnych mu księży oskarżono o kontrrewolucję tj. o czyny zmierzające do obalenia władzy państwowej siłą.

Kontrrewolucja ta polegała, jak na przewodzie sądowym ustalono, a przez sprawozdawców prasy zagranicznej dokładnie zarejestrowano, na wykonywaniu przez biskupa i księży obowiązków duszpasterskich. Głównym zarzutem było oświadczenie arcybiskupa Cieplaka, że nie może bez zezwolenia Papieża wyrazić zgody na wydanie naczyń kościelnych i na oddanie państwu świątyń, a następnie oddzierżawianie ich od państwa.

Bolszewicy naczynia kościelne zabrali siłą i Kościoły zamknęli. Arcybiskup Cieplak wraz z księżmi postawiony został przed sąd najwyższy w Moskwie i sądzony był w dniach 21-25 marca 1923 r. Prokurator żądał kary śmierci.

Niezmiernie charakterystyczne były wywody obrońców z urzędu, Komodowa i Bobriszczew-Puszkina. Stanowią one dowód, w jak cyniczny sposób sądy sowieckie gwałcą nawet własne, drakońskie prawo.

Komodow stwierdza po obszernym wstępie w swoim przemówieniu, że w czynach podsądnego arcybiskupa Cieplaka nie można się absolutnie dopatrzeć walki przeciwko władzy sowieckiej, a co najwyżej przeciwdziałania. Nawiązawszy do zarzutu prokuratora Krylenki, że „nastrój żalu zmienia się w nastrój opozycyjny, antyrządowy", przypomina, że teoria subiektywna odrzucona została przez kodeksy wszystkich państw. Na zasadzie tej teorii możnaby bowiem uwięzić każdego człowieka.

„Czy to jest kontrrewolucja? — zapytuje obrońca.

Niespodziewanie co prawda, ale tym niemniej charakterystyczne jest jedno oświadczenie drugiego obrońcy Bobriszczew-Puszkina: „Chcecie karać śmiercią Cieplaka. Ukarzcie! Ten starzec uczyni znak świętego krzyża i umrze. Ale innych zwolnijcie". Widać, jak dobrze ten obrońca znał praktyki sądów bolszewickich, jeśli zdołał dojść do takiego wniosku, że nawet przy absolutnym braku dowodów można niejako rzucić w paszczę molocha jedną ofiarę, by ocalić inne.

Trudno na tym miejscu omawiać cały sowiecki kodeks karny. Jedno wszakże stwierdzić należy, że gwałci on najbardziej podstawowe zasady wymiaru sprawiedliwości, stosowane w świecie cywilizowanym. Jako przykład może wystarczyć, iż sądzonym i skazanym można być w Sowietach również za czyny, nieprzewidziane kodeksem. Można ukarać *za każdy w ogóle czyn* na wygodnej zasadzie, że sądzić należy „według przestępstwa rodzajowo najbardziej podobnego" (paragraf 4 artykułu 58).

Proces moskiewski arcybiskupa Cieplaka był jedną wielką parodią wymiaru sprawiedliwości. Ze śmiechem na ustach, rozbawieni cyrkowymi wyczynami prokuratora, sędziowie skazują na śmierć najmężniejszych przedstawicieli i obrońców Kościoła katolickiego, którym nie udowodniono żadnej winy. *(b)*

HERMINIA NAGLEROWA

PO PIĘTNASTU LATACH

O TWÓRCZOŚCI STRASZEWICZA

OSTATNI raz — przed bez mała piętnastu latami — widziałam Straszewicza w Warszawie, w kawiarni „Zodiak", niemal w przeddzień jego wyjazdu na „Chrobrym" do krajów południowej Ameryki. Nastroje były już prawie wojenne, skłaniające do przewidywań bądź to optymistycznych, bądź ponurych. Ponieważ moje i Straszewicza poglądy i przekonania były rozbieżne, przysłuchujący się naszej dyskusji Tadeusz Hollender zapędził nas na swoje wesołe podwórko. Oto zamierzał pisać książkę pt. „*Mój bój*". Na razie istniał tylko tytuł, ale już sam dosłowny przekład hitlerowskiego „*Mein Kampf*" brzmiał przedrzeźniająco i zabawnie. Po kilku miesiącach tytuł, zarówno polski jak niemiecki, zatracił swoją śmieszność, a Tadeusz Hollender zginął z rąk niemieckich. „Mój spór" ze Straszewiczem również nie wytrzymał próby nadchodzących lat. Zresztą jako pisarze byliśmy przez te lata odgarnięci na bok i nieczynni. Za to ludzkie sprawy ukazały się nam z bliska — w strachu, poniżeniu i cierpieniu. Godność, bohaterstwo i inne piękne cechy ludzkie sprawiały się cicho, wytrwale i bez patosu.

Toteż teraz, gdy robimy bilans czy też rachunek sumienia, nie ma w nas jeszcze całkowitej samowiedzy pisarskiej, nie ma tej pewności, czy „wiatr nie znosi nas z gór". Są to słowa, które Straszewicz usłyszał od ś.p. Bolesława Micińskiego w roku 1940, więc w roku wojny we Francji. Przytaczam je z autobiograficznego esseju Straszewicza „*Pióra w ukropie, czyli strach nami rządzi*".

Czytając w „Kulturze" ten pierwszy po wielu latach utwór Straszewicza, pojęłam, że wtedy przy stoliku kawiarnianym ja i Straszewicz byliśmy dyskutantami na równych prawach. To znaczy, że nikt nikogo nie przekonał i że nie mieliśmy o to do siebie pretensji. Dzisiaj natomiast, gdy zabrakło przedmiotu sporu, gdy ten brak odczuwamy tak samo, więc zgodnie, Straszewicz rzuca spłoszone pytanie: „. . . . w czym wytrwać"? Pytanie to jest raczej zwrotem retorycznym. Jest zresztą spóźnione, skoro Straszewicz nie spekulując wszedł świadomie w służbę, w robotę, w bezimienność.

Mówiąc zwyczajnie: Straszewicz spełnił swój obowiązek obywatelski, zatem żołnierski. Owszem — postąpił tradycjonalnie, tak właśnie, jak trzeba było. Anglik uważa takie postępowanie za cnotę pospolitą, za coś, co obywa się bez uczuciowych przydawek. Polak lubi się chwalić, ale też łatwo popada w rozgoryczenie — po szkodzie, po klęsce. Straszewicz wprawdzie po polsku złorzeczy a po literacku ironizuje, ale dobrze wie, że jego niepisarskie lata nie były stracone. Gdy znowu zaczął pisać, jest od razu, bez wahań i omyłek na właściwym miejscu. Forma, temat, język podporządkowały się jego pisarstwu chyba tak, jak nigdy przedtem.

WSPÓŁCZEŚNI pisarze — mam na uwadze polskich pisarzy emigracyjnych — mogą zgarniać tematy, wybierać je, domierzać do swoich twórczych możliwości, czy też odwrotnie: dorastać do miary nowych, wielorakich treści. Obfitość ta nie wspiera jednak pracy pisarskiej. Bliskość i podręczność wydarzeń lub zagadnień zachowuje się zazwyczaj opornie, bywa też, że kusi do pośpiechu, pobieżności, fuszerki. O tę obfitość materiału toczy się zresztą nie od dziś jawna i podjazdowa walka między reportażem a tzw. fikcją.

W okresie dwudziestolecia zarzucano przecież polskim pisarzom, że uciekają od rzeczywistości, zostawiając ją reportażowi przeważnie dziennikarskiemu. Jeżeli tak było w istocie, eskapizm pisarzy nie był jednak zjawiskiem powszechnym. Ówczesna polska rzeczywistość weszła bowiem do literatury powieściowej, przejawiała się w rozmaitych tendencjach i intencjach, osiągała niespotykaną dotąd rozpiętość geograficzną aż po najdalsze kresy kraju. Literatura ta była na pewno odważna, zważywszy na odwieczną polską drażliwość, niedotykalstwo, nastroszenie. Z czasem jednak pisarze zaczęli poddawać się nakazom „nie tykania świętości", nie rozdrapywania ran, bolączek, itp. Troski i niepokoje pisarzy łagodził balsam pobłażliwości, być może uwierzyli w dobroczynny wpływ optymizmu.

Młodzi pisarze dwudziestolecia, nie oszołomieni wolnością na którą nie czekali zbyt długo, niejedno mieli w zanadrzu i na niejedno porwaliby się z młodzieńczą pasją. Jeżeli to niekiedy robili, ściągali na siebie anatemę i gorsze od niej w skutkach uznanie snobów. Jedno i drugie nie sprzyjało ich pisarstwu, które nie potrafiło się już zdobyć na sprzeciw, na ten niepopłatny wysiłek nie dający natychmiastowej sławy i chwały. Pisarze, którym wreszcie obmierzło epatowanie znudzonych, wyzwalali się — wybiegiem. Aby nie rozdrażniać tego czy innego odłamu społeczeństwa, aby nie być na łasce indeferentów i pięknoduchów, zmieniali szerokość geograficzną. Przenosili swoje troski i niepokoje na inny teren, gdzie mogli bez skrupułów burzyć stary świat i budować według własnego zrozumienia nowy, wspanialszy, szczęśliwszy.

Straszewicz swój paszport pisarski również zapełniał wizami obcych krajów, zwłaszcza tych, gdzie były „punkty zapalne" i gdzie można było wyjaskrawić zagadnienia tlejące i kisnące we własnej ojczyźnie. Inne środowiska, inna przyroda i architektura, ludzie innej narodowości i rasy składały się na inny, bardziej interesujący deseń fabularny. Jeżeli nawet polski czytelnik domyślał się maskarady, nie przyznawał się do tego, zadowolony, że pisarz nie depce po piętach domorosłym sprawom.

NALEŻY żałować, że nie ma tutaj przedwojennych książek Straszewicza, by je móc skonfrontować z dzisiejszym przeczuleniem lub znieczuleniem polskiego czytelnika. Z tego samego powodu nie można poddać ponownej ocenie ich wartości literackich ani zestawić z obecną twórczością Straszewicza. W pamięci czy też wrażeniu pozostał ówczesny sąd o Straszewiczu, jako o pisarzu wybitnie utalentowanym. Dwa zbiory nowel „*Wystawa Bogów*" i „*Gromy z jasnego nieba*", oraz dwie powieści „*Litość*" i „*Przeklęta Wenecja*" ustalały już jego miejsce w naszej przedwojennej twórczości. Przeciągające się zbyt długo milczenie Straszewicza dziwiło więc i smuciło. Tym większe zadowolenie wywołało jego niespodziane ocknięcie się z depresji, a może niewiary w siebie. Jego dzisiejsza twórczość jest tak pełnowartościowa jak gdyby lata bezczynności były czasem pracy i osiągnięć.

Odnosi się to do obu opowiadań zawartych w książce „*Turyści z bocianich gniazd*". Przede wszystkim jednak do „*Katedry Sandwiczów*" jednej z najlepszych pozycji literackich na emigracji. Utwór ten jest zresztą bardzo emigracyjny, reprodukujący dziwaczną prawdziwość tego stanu rzeczy, jakim jest nasze uchodźstwo. W literaturze naszej nie brak tułaczego motywu. Nie mówiąc już o „*Latarniku*", „*Panu Balcerze*" i innych „*Za chlebem*", istniały mniej lub więcej udatne utwory powieściowe o uchodźstwie zarobkowym i osiadłym. Podejście do ludzi i zagadnienia było raczej sentymentalne, filantropijne, niekiedy społeczne, gospodarcze, a prawie zawsze tendencyjne. W powieściach tych „zamorscy rodacy" wygłaszali poruczane im teksty nieomylnie i bezbarwnie.

Wspominam o tej literaturze dla zaznaczenia, że „*Katedra Sandwiczów*" Straszewicza jest czymś odmiennym i samorodnym w naszym pisarstwie. Dotyczy to tematu i formy bardzo swoistej, mimo, że nawyk porównywania przywodzi na myśl Hemingway'a. Ludzie w opowiadaniach Straszewicza wymykają się społecznym problemom, chociaż ich warunki bytowania szczególnie nadają się do tego rodzaju rozważań. Są to przecież ludzie „prości", bezdomni, wykolejeni. Ich wrażliwość, ich rozumowanie, wreszcie ich etyka ujawnia się w działaniu bez hamulców i namysłu. Dają się ponosić jedynie swojemu instynktowi czy temperamentowi, więc bodźcom nieokiełzanym i nieuświadomionym. Są bodajże awanturnikami, którym grunt pali się pod stopami, których Ocean wyrzuca na bylejaki brzeg.

Błahe i dziwaczne wydarzenia układają się według usposobień tych ludzi. Urastając jednak do „awantury", zagrażają ustalonemu porządkowi portowego miasteczka, mącą spokój osiadłym mieszkańcom. Może właśnie po to pętają się ci ludzie po lądach i morzach, żeby wzniecać burze w szklance wody. Gromada obieżyświatów złożona z typów sprytnych, oblatanych, ale i nieodrajdów, mizeraków, cudaków — ma przecież do swojego rozporządzenia tylko tymczasowość postoju. Życie z dnia na dzień, przygody, ucieczki w nieznane — tworzą jak gdyby łańcuch fabularny, nigdzie się nie kończący. Potoczna mowa tych ludzi zapewne dłużej zachowała ślady miejsc pobytu i przygodnych zajęć niż pamięć przesycona rozmaitością wydarzeń. Nikt z tych ludzi nie ogląda się za siebie, ale, idąc przed siebie, zmierzają do punktu wyjścia.

Charakterystyka ta jest jednak powierzchowna, oparta na spostrzeżeniach pośpiesznych, zaledwie nadążających żywości akcji. Opowiadanie Straszewicza ma bowiem podwójne dno, skrytkę, w której autor i jego ludzie przechowują coś, co jest bezcenne, bo najbardziej własne. Dla rzeczy tej nie nazwanej po imieniu powzięli przecież postanowienie uciekania „gdzie oczy poniosą". Rzecz tę unieśli z sobą, przemycili. Nie pastwiąc się nad tymi dobrowolnymi zbiegami, autor oszczędził im kompleksu Judyma. Nie rozżalają się nad swoją dosłowną, nie tylko symboliczną bezdomnością. Nie są deklamującymi cierpiętnikami. Ich zgrubiałe słownictwo nie nadaje się zresztą do tego. Niemniej przeto ich niesprecyzowany program czy ideą nadają wartość ich istnieniu. Przede wszystkim uzasadniają to gnanie na oślep i bez pamięci.

Upodobniają się zatem do wszystkich awanturników znanych z literatury, dążących i walczących o istotne lub urojone cele. Są, jak tamci, śmieszni i żałośni, jak tamci odważni, rycerscy i trochę niepoczytalni. Bijatyki na pięści dają im te same emocje co pojedynki, fortele tak samo ratują ich z opresji. Jeżeli w opowiadaniu Straszewicza brak zakończenia wieńczącego trudy i wysiłki, nie należy się tym przejmować. W Punta Chata, w miejscu ich postoju, nie mogło przecież rozstrzygnąć się to, co ich pognało w świat. Awantura jeszcze nie dobiegła końca.

Ale w Punta Chata, w miejscu nieodszukanym na mapie, dzieje się wszystko według uchodźczych reguł. Toteż Maria Danilewiczowa, dobrze ze sprawami czytelnictwa obznajmiona, mogła stwierdzić, że o „*Katedrze Sandwiczów*" gdy tylko ukazała się w „*Kulturze*", więc zanim jeszcze wyszła w książce — . . . . szary ludek dowiedział się natychmiast, psim swędem, pocztą pantoflową, na nocnej zmianie, w ogonku u Sainsburego : . .". Jestem pewna, że czytelników tych urzekł nie tylko bliski temat, ale przede wszystkim jego artystyczna obróbka. Doznanie literackie, chociaż nie wyrażone słowami znawców, chociaż nieuświadomione, podziałało silniej, bo odkrywczo. Czytelnicy dotarli bowiem do siebie samych, mogli siebie podziwiać, drwić z siebie, bawić się sobą. Pojęli wreszcie emigracyjną treść, nie spłyconą frazesem, nie uśpioną banałem.

Stale powraca emigrancki motyw, to nasze utrapienie i nasza obsesja. Ale dla Straszewicza motyw ten jest pisarskim wyzwoleniem. Teraz bowiem, gdy w jego paszporcie jest wiza aż urugwajska, gdy od lat przebywa w obcym środowisku, patrzy na obcy krajobraz, chodzi po ulicach obcego miasta, zaludnił swoje opowiadanie właśnie Polakami, swojakami. Pozbierał ich zewsząd, nagromadził jakie się dało strzępy polskości i niby to drwiąc, niby wykrzywiając się z własnych wzruszeń — sobie i nam uczynił zadość.

Stało się jednak jeszcze inaczej, bo Straszewicz — tym razem bez wizy i na gapę, zatem intuicyjnie, przy pomocy wyobraźni oraz materiałów zdobytych jemu tylko wiadomymi drogami — zawinął do polskiego Gdańska. Jego druga opowieść „*Kociołek na Ziemowita*" jest niejako komentarzem do „*Katedry Sandwiczów*". Autor wniknął w ten mechanizm, który tak długo drąży, mataczy, otumania i ogłupia aż zmusza osaczonych do brania nogi za pas. Straszewicz dorwał się do tych „igraszek" z pasją, z niweczącą drapieżnością. Ośmieszył, obnażył i w pewien sposób unieważnił działanie metod zdawałoby się niezawodnych.

„KOCIOŁEK na Ziemowita" nie jest satyrą, bo rodzaj ten ma na celu poprawianie tego, co złe, szkodliwe lub nieudolne. Nie jest też karykaturą podkreślającą jakieś szczególne cechy i znamiona. Opowieść Straszewicza jest tragifarsą, która rozśmiesza szczegółami, bawi powikłaniami, ale jednocześnie przygnębia i przeraża groźną w skutkach istotnością. Ten portowy odcinek „Polski Ludowej" jest bowiem pars pro toto, fragmentem kulis, które wiodą na scenę, gdzie rozgrywa się monstrualny dramat bez zabawnych interludiów.

Podczas czytania „*Kociołka na Ziemowita*" przyplątują się gogolowskie reminiscencje. Trzeba jednak pozbyć się ich jak najprędzej, gdyż świat i ludzie Gogola nie dorastają do przewrotności tak precyzyjnej, że już chyba czarciej. Naczelnik Bijas i jego sfora są oczywiście pomniejszymi czartami, może tylko dobrodusznie figlują jak polski diabeł Kusy wodzący ludzi po manowcach, ale i sam często wyprowadzany w pole.

Właśnie o to chodzi, że w „*Kociołku na Ziemowita*" jest nie tylko polska dzisiejszość, ale że usposobienia występujących osób są polskie. Należy to podkreślić, mimo, że jest to polskość ujemna. Jurność, rubaszność, chytrość, chamstwo, samozakłamanie przyzdobione gestem, frazesem i fantazją — sa tak rodzime w opowieści Straszewicza, że, budząc niechęć i sprawiając dojmującą przykrość, jednocześnie rozbrajają. O ileż lepiej niż reportaż potrafiło to opowiadanie ukazać rzeczywistość, atmosferę, ludzi. Chociaż Straszewicz od wielu lat przebywa w dalekim i bezgrzesznym Urugwaju, swoją pomysłowością literacka odtworzył dzisiejsze stosunki i warunki w Polsce bardziej wiarogodnie niż jakakolwiek relacja „naocznych świadków" czy nawet byłych organizatorów rozmaitych „kociołków".

A nadto — w tym, co Straszewicz tak bystro rozpoznał w dzisiejszej polskiej rzeczywistości, wypatrzył również istnienie podwójnego dna, zakonspirowanej skrytki. Zaznacza to dyskretnie, z odrobiną podejrzliwości, niekiedy obruszając się na zablagowany patriotyzm, na zakłamaną sienkiewiczjadę. Mimo to, ściszone, przytłumione, a niechby i obłudne objawy tej jakiejś wierności bardzo osobliwej i zwątlałej — bodaj na moment przywracają zahukańcom, nieszczęśliwcom i rozmaitego kalibru kreaturom cechy ludzkie. Nawet sierżantowi Rymowi, najkapitalniejszej postaci opowiadania.

W obu utworach Straszewicza odnajdujemy niemal już zaniechaną we współczesnej prozie beletrystycznej — kompozycję. Utwory jego nie wydobywają się poza ramy gdzieś na boki, gdzieś zanadto w górę, albo za bardzo w głąb. Pisarz zachował sobie prawo kierowania akcją, modelowania postaci. Tym większa jednak jest jego odpowiedzialność za to, co tworzy, i tym bardziej sprawdzalny wynik. Podejmując dawną formę polegającą na związaniu akcji i uczestnictwa w niej wszystkich osób wprowadzonych do utworu, Straszewicz zachował jednak niezależność pisarską. Przejawia się ona w odrzuceniu introspekcji i marginesowych rozważań, w przyśpieszaniu akcji głównej poprzez akcje poboczne. Przede wszystkim — w ostrości, niekiedy brutalności dostrzegania rzeczy i ludzi.

Ta wizualna metoda posługuje się łatwo czytelnymi i powtarzalnymi gestami, bezustanną ruchliwością działania się. Jeżeli uwzględnimy, że wszystko dzieje się w czasie teraźniejszym i w trybie doraźnym, podejdzie najwłaściwsze określenie sposobu pisania Straszewicza: sceniczność. Opowiadania rozgrywają się przed nami tuż blisko. Nie większa dzieli nas od nich przestrzeń niż ta, jaka jest między widownią a sceną. Możnaby to jeszcze prościej określić jako bliski i bezpośredni kontakt z czytelnikiem. Dlatego też nastąpiło tak szybkie i niezawodne porozumienie się czytelników z utworami Straszewicza.

MAŁE CŁO
MATERIAŁY BAWEŁNIANE NA SUKIENKI

KRETON wzorzysty 1 kupon 4 yardy Cena £2. 0.0
POPELINA Sea Island Cotton najwyższy gatunek kupon 4 yardy £3.19.6
Cło tylko około 30 zł. za kupon.
Próbki na żądanie. Wysyłka listem poleconym.

HASKOBA Ltd.
2, Hogarth Rd., London, S.W. 5.
tel. FRE 7888

S. KLINGA

PRAKTYCZNY IDEALIZM AMERYKI

W DNIU 31 maja Prezydent Eisenhower wygłosił przemówienie w Columbia University na obchodzie dwuchsetletniej rocznicy jego istnienia. Ludziom, którzy twierdzą, że Ameryka nie ma historii, można w tym wypadku odpowiedzieć, że jednak dwieście lat, to kawał czasu. Mówiąc o tradycjach historycznych, o zagadnieniach wychowywania młodych pokoleń, o ideach kierujących życiem amerykańskim — a wszystko w nawiązaniu do niektórych wydarzeń bieżących — Prezydent Eisenhower powiedział więcej o istocie amerykańskiej polityki, niż by mógł powiedzieć na konferencji prasowej.

Podstawą cywilizacyjną zachodnich społeczeństw, mówił Eisenhower, jest zasada ogłoszona 2000 lat temu w świątyni Jerozolimskiej, iż prawda uczyni ludzi wolnymi. Dążenie do poznawania prawdy oraz jej rozpowszechnianie, osiągnięcie wolności oraz jej obrona — oto są cele życia, wpajane przez amerykański system wychowawczy. Amerykanie głoszą światu rewolucyjną doktrynę, iż prawo człowieka do osobistej wolności jest pochodzenia Boskiego i jest niezbywalne. Ta doktryna jest podstawą amerykańskiego stosunku do życia. I tu Prezydent Stanów Zjednoczonych powiedział: *„Kategoryczne odrzucenie tej zasady jest podstawową cechą materialistycznych despotyzmów dzisiejszego wieku"*.

Ten temat Eisenhower rozwijał następnie dalej. Stwierdził, że istnieją dziś dwa światy, które są duchowo bardziej odległe od siebie, niż oba bieguny kuli ziemskiej. Jeden z tych światów — wedle słów mówcy — jest oddany idei wolności osobistej, jak i prawa wszystkich ludzi do życia w pokoju. Świat drugi — wyznający materialistyczną filozofię marksizmu — chce narzucić swą władzę wszystkim narodom. Na uboczu stoją i przyglądają się miliony niezdecydowanych. Eisenhower ubolewa, że komunistyczna akcja oszustwa, sabotażu i terroru jest zorganizowana i jednolicie kierowana na skalę globalną, podczas gdy świat wolny nie może się zdobyć na równie jednolite przeciwdziałanie.

Słowa te wypowiedział Prezydent Stanów Zjednoczonych w chwili, gdy w Genewie toczyły się obrady konferencij z krajami komunistycznymi. Na zjeździe tym W. Brytania prowadziła politykę odmienną od amerykańskiej poszukując kompromisu z komunistami. Parę zaś tygodni temu Churchill w przemówieniu również pozaparlamentarnym życzył komunistycznej Rosji szczęścia, pomyślności i powodzenia. Czy również powodzenia w zamiarach opanowania świata? Chyba nie — ale zestawiając mowę Eisenhowera z życzeniami Churchilla można by nabrać przekonania, że między amerykańską i brytyjską filozofią polityczną istnieje duża przepaść. Lecz wrażenie to byłoby fałszywe. W W. Brytanii istnieje poważny odłam opinii potępiający obecny kierunek oficjalnej polityki. Na przykład w tygodniku *„Time and Tide"* czytamy takie mocne słowa:

„Nastał czas, byśmy spojrzeli w oczy faktowi, że rosyjski komunizm prowadzi politykę napaści i podboju, politykę przeciwną wszystkiemu co Zachodowi jest drogie. Tej polityce nie można przeciwstawiać się dyplomatycznymi gusłami, lecz jedynie siłą. Przymilanie się do Rosjan jest tak samo bezpłodne i niebezpieczne, jak było przymilanie się do hitlerowców. Jest już czas, byśmy tego zaprzestali".

Powyższe poglądy są zbieżne z amerykańskimi. Wracając do mowy Eisenhowera trzeba jeszcze zanotować jego twierdzenie, szczególnie ważne, gdyż wypowiedziane w czasie rokowań genewskich, że w ciągu 16 miesięcy rządów Eisenhowera przeprowadzono z Rosją rokowania w sprawie Niemiec, Austrii, Korei, Indochin oraz zagadnień atomowych — i wszystkie te rokowania okazały się bezowocne. Mówiąc o Korei, Eisenhower oświadczył, iż została wprowadzona w życie nowa zasada wolności, mianowicie jeńcy otrzymali prawo wyboru tej strony, po której chcą być zwolnieni. Według Eisenhowera wpływ tej nowej zasady wolności na przyszły bieg historii może okazać się większy, niż największej bitwy naszych czasów. Twierdzenie to jest słuszne i głębokie.

Wreszcie Prezydent Eisenhower oświadczył, że polityka amerykańska ma dwie obowiązujące wytyczne: 1) budowa pokoju we współpracy z innymi, w oparciu o prawdę, sprawiedliwość i słuszność; 2) dla osiągnięcia tego celu Ameryka będzie dążyła do wzmocnienia u siebie i wśród swoich przyjaciół umiłowania wolności, wiedzy, rozpowszechnionego dobrobytu i *siły wojskowej, odpowiadającej wymogom bezpieczeństwa.*

Z tych ostatnich słów widać, że Eisenhower traktuje ideały bardzo praktycznie.

MIĘDZY PLOTKĄ I ANEGDOTĄ

Nieskazitelny w stroju, ruchach i sposobie wysławiania się Antoni Eden znajdował zapewne dużo przyjemności w celebrowaniu uroczystego przelewania z pustego w próżne, nazywanego w prasie światowej „konferencją genewską". Dla bywalca klubów i salonów, doskonałego **causera**, nie zapominającego nigdy o zdrowej zasadzie, że człowieka dobrze wychowanego poznaje się po uśmiechu, Genewa była gratką nielada. Niekończące się spotkania — ranne, południowe i wieczorne — wszystkie według uświęconych tradycji angielskiego dobrego tonu przy przyjemnie nakrytym stole śniadaniowym, lunchowym, obiadowym i kolacyjnym. Na tych spotkaniach brylowała dorodna postać Edena wymieniającego uśmiechy i kalambury z gentlemanami świata komunistycznego. I wreszcie ukochana przez wszystkich dyplomatów, zwłaszcza zaś angielskich, świadomość, że nic, ale to absolutnie nic się w ten sposób nie załatwi.

Szkoda, że się to kończy. A wszystko przez tych Francuzów, którzy obalają rząd, pilnie przy tym bacząc, by nie obalić go zbyt dużą większością. Nie dziwota, kilka głosów przeciw Lanielowi więcej i można według konstytucji rozwiązać parlament. A tak, świetnie się składa: rządu nie ma, lecz parlament pozostaje. A p. Bidault, o którym Eden z goryczą mówił, że mu przeszkadzał w celebrowaniu genewskiego „garden party" nikogo już nie reprezentuje.

Orkiestra kakofoniczna

Są różne orkiestry: symfoniczne, kameralne, salonowe, jazzowe, taneczne. Jest również orkiestra kakofoniczna nad którą p. Eden z takim talentem sprawował batutę, grając równocześnie pierwsze skrzypce. Orkiestra ta występuje pod nazwą: Polityka Świata Zachodniego. Każdy członek tej orkiestry gra co mu się podoba i jak mu się podoba. Jeśli w jakimś dniu nie ma ochoty grać w koncercie ogólnym, może nie przyjść i wystąpić z własnym programem. Na przykład na podwórku swego domu ku uciesze własnej i sąsiadów. Jeśli się zaś na koncert wybierze każdy muzykant przychodzi z własną partyturą. Każdy też ma swoją własną klakę i sam na własną rękę sprzedaje bilety.

Pod jednym tylko względem wszyscy członkowie orkiestry są całkowicie między sobą zgodni. Jak wiadomo utrzymywanie orkiestr i organizowanie koncertów wymaga pieniędzy. Każdy muzyk lubi grać, nie uważa jednak za właściwe pokrywać deficyt. Obowiązek łożenia na orkiestrę, na różne instrumenty, fraki dla muzykantów, ich diety, koszty przejazdów itp. zdaniem jednogłośnym członków zachodniej orkiestry kakofonicznej spoczywa na dyrygencie. Dyrygentem tym są Stany Zjednoczone. Prawa dyrygenta są w tym wypadku jednostronne. Zdaniem muzykantów ma prawo i obowiązek opłacać ich i wyciągać cierpliwie z coraz to nowych kłopotów finansowych (muzycy są często rozrzutni). Nie ma jednak prawa orkiestrą dyrygować.

Jest bowiem na to zdaniem muzykantów za młody i za mało doświadczony. Ma płacić i wsłuchiwać się z rozkoszą w coraz to nowe dysonanse.

Solidny gramofon

Świat komunistyczny zamiast orkiestry posługuje się w polityce gramofonem. I taniej i głośniej. W dodatku gramofon ten ma tylko jedną płytę, zgraną i znaną każdemu na pamięć. Nic nie szkodzi. Wyrafinowani i kulturalni muzycy zachodni przysłuchują się dźwiękom płyty z nabożeństwem i z przymilnym uśmiechem, czekając na cud, że się melodia zmieni. „Dziś grali trochę szybciej", szepczą do siebie w podnieceniu, „ciekawe czy nie oznacza to polepszenia sytuacji".

Ilekroć też gramofon sowiecki zaczyna grać zbiegają się chętnie i słuchają cierpliwie. Tak cierpliwie i z takimi optymizmem z jakim znajomy mój chodził codziennie do kina na ten sam film. Zapytany po co chodzi, odpowiedział, że jest tam scena w której nadjeżdżający pociąg zasłania postać rozbierającej się ślicznej dziewczyny i to jakby to powiedzieć w ostatniej chwili. Otóż mój znajomy miał ciągle nadzieję, że któregoś dnia pociąg na ekranie się spóźni.

Miał tyle samo szans co dyplomaci zachodni w swej nadziei, że ta sama płyta sowiecka zagra nagle inną melodię.

Od słowa „nie"

W szkołach poloniści uczyli, że nie wolno rozpoczynać zdania od słowa „bo". Słusznie. Zdaje się, że osiągnęli dobre rezultaty, gdyż w życiu dorosłym nie spotykałem już u ludzi tego brzydkiego nawyku, oczywiście z wyłączeniem przemówień adwokackich.

Szkoda, że nie oduczyli ludzi od rozpoczynania skomplikowanego procesu ubierania swych myśli w kształt słów i zdań od słowa „nie". Myli się, kto sądzi, że sposób ten stosują tylko komuniści, chociaż niewątpliwie właśnie oni zdobyli sobie na tym polu sławę. „Russico non leguntur" biadał socjolog Sorokin, nawet jednak tak zatwardziali w swym antytalencie językowym Anglicy wiedzą już co po rosyjsku znaczy **„niet"**.

Wśród Polaków od słowa „nie" rozpoczyna się polityka. Na słowie „nie" polityka też się kończy. Czasem dodają do „nie" jeszcze parę słów by stworzyć zdanie w rodzaju: „nie ma zgody", lub po prostu „nie pozwalam". „Krzyknął nie pozwalam i uciekł na Pragę", pisał satyryk staropolski o zrywającym sejm. Nie mogę sobie przypomnieć, czy zacytował to wołanie Mackiewicz w swym „Stanisławie Auguście".

Dziś na emigracji trudno uciekać na Pragę, chociaż Polacy londyńscy „Pragą" nazywają lewy brzeg Tamizy tj. okolice Clapham Common. Jest wyjście. Zastępcze miejsce ucieczki. Zamiast na Pragę można zawsze zaprowadzić skołatany od cierpień politycznych organizm do Hyde Parku i szukać tam natchnienia do następnego artykułu.

Aleksander hrabia Fredro (lub po prostu Fredro) w jednym z mniej (podobno) znanych utworów pisał o astrologu, który „zamknął się na wieży" w celu rozmyślań i szukania odpowiedzi na dręczące naród zagadnienia w gwiazdach. Nie znalazł. Znowu to „nie"!

Nie przemęczać się!

Z wszystkich „norm" wyznaczanych w Sowietach najmniej boleśnie przygniatają chyba „normy" pracy umysłowej. Nie chodzi tu o „normy" urzędnicze: ile „kawałków" należy załatwić w ciągu dnia, do ilu centymetrów dziennie ma urosnąć sterta „aktów" i tasiemiec załącników. Są to rzeczy w samej swej istocie idiotyczne i szkoda się nad nimi zastanawiać. Ani z tego pożytku dla nikogo ani szkody dla odstawiającego owe urzędnicze rekordy płodności. Chodzi o pisarstwo.

Otóż normy te są nieduże i zarówno pisarz, jak i publicysta czy dziennikarz za cenę zrezygnowania ze swej godności osobistej i po zwalceniu w sobie odruchów ludzkiej przyzwoitości, może swą techniczną umiejętność pisania sprzedać komunistycznemu państwu bardzo tanio. Na przykład w prasie sowieckiej, zwłaszcza w organach czołowych, jak w „Prawdzie" i „Izwiestiach" nie wymaga się od publicysty więcej niż 15 artykułów rocznie. Żyć nie umierać!

Oczywiście trudno jest pisać same komunały przez całe życie i trzymać na wodzy minimum posiadanej fantazji pisarskiej i indywidualności. Niby tego mało, lecz przecież jakże diabło trzeba uważać, by nie wtrącić jakiegoś nieprawomyślnego słowa lub określenia. Bierze się zatem pieniądze, mieszka się i ubiera dostatnio, nie za wartość swej pracy, lecz za wieczny potępieńczy strach, czy zanim gazeta nie opuści druku już się nie zmieni oficjalny pogląd Politbiura i nie trzeba będzie w nagrodę za swój artykuł zabrać się do odwalania gorszych norm w Workucie lub na Kołymie.

Lepiej się powodzi oficjalnym piewcom „socjalistycznego" wysiłku, zetempowskiej tężyzny i „romantyki racjonalizatorstwa". Posłuchajmy co myśli o wartości pracy urzędowych poetów, również urzędowy satyryk, opisujący „twórczość" szczecińskiego wierszoroba. Poeta „urzęduje" w Klubie Literatów. Spłodził właśnie wiersz „zadany" mu na tydzień bieżący:

„Ze wzgórz stołczyńskich
Horyzont we mgle gubię.
Pięknie tu! Dobrze tu!
Lubię Szczecin. Lubię!

Nudzi mi się — dodaje „na stronie" poeta i ziewa.

Kolega-satyryk odstawia więc swoją normę i pisze wyjątkowo trafnie: **„Z poety rozpartego w wygodnym fotelu klubowym płynie leniwa energia i przelewa się w dalszą strofkę wiersza:**

Wysokich pieców szum,
Odry sina woda,
Syreny nagły ryk,
I pięknych dni pogoda". **J. P. H.**

WŁ. POBÓG-MALINOWSKI

MELPOMENA

GDY się czyta w prasie reżymowej recenzje teatralne lub też artykuły, poświęcone zagadnieniom teatru, spotyka się w nich niezmiennie, od kilku już lat, powtarzane aż do znudzenia slogany: „Celem teatru nie jest teatr, tylko życie!"... „Celem teatru jest kształtowanie życia poprzez sztukę"... „Teatr ukazywać ma na swych scenach wielkość zachodzących przeobrażeń — rozmach i piękno dzisiejszego życia!"... „Każda wystawiona w teatrze sztuka musi być potężnym ładunkiem ideologicznym" ... „Teatr, pracując na gruncie obrazowego przeżycia, musi być instrumentem oddziaływania o największym zasięgu!" — czyli, innymi słowy, musi być czołową trybuną reżymowo-sowieckiej propagandy, głównym narzędziem do „kształtowania i rzeźbienia psychicznego oblicza nowego w Polsce człowieka"...

W pełnej zgodzie z takimi sloganami-założeniami pozostają organizacyjne wysiłki reżymu: istnieje w tej chwili w Polsce 89 teatrów, z czego 16 przypada na Warszawę; stałe teatry posiadają wszystkie miasta wojewódzkie, niektóre z nich — bardziej „uprzywilejowane" — po dwa i nawet trzy; teatry stałe mają również: Bielsko, Częstochowa, Gliwice, Gniezno, Jelenia Góra, Kalisz, Nowa Huta, Radom, Świdnica, Toruń. Nie należą jednak do wyjątków skupiska takie, jak Wałbrzych czy Legnica, obsługiwane — jak mniejsze miasta i wsie — przez tzw. „teatry objazdowe". Dla pełni obrazu dodajmy, że w podanej wyżej liczbie mieszczą się teatrzyki satyryczne, teatry „młodego widza", wreszcie — „teatry lalek"...

W tak gęstej sieci organizacyjnej każda niemal wystawiona sztuka ma „murowane powodzenie". Nie należą do wyjątków ani *„Niemcy"* Kruczkowskiego — ponad 300 przedstawień i około 700 tysięcy widzów, ani *„Sprawa rodzinna"* Lutowskiego — prawie 200 przedstawień i około 300 tys. widzów, ani sztuka Morstina o Reju *(„Polacy nie gęsi")*, którą w krótkim czasie, i to tylko w Warszawie i Krakowie — obejrzeć miało 135 tysięcy widzów. Jeśli chodzi o rok 1953, tworzący ramy zasadnicze dla tego artykułu, to w ciągu 12 jego miesięcy dano w sumie 26.300 przedstawień, które obejrzało 11 milionów widzów; na przedstawienia w siedzibie teatrów przypada z tego ponad 10 tys. przedstawień, ponad 15.000 zaś — na teatry objazdowe i „występy gościnne".

Co prawda, — przy nieco głębszej analizie te „imponujące cyfry" tracą wiele na swej wymowie. A więc dla przykładu *„Artos"* — „organizacja imprez rozrywkowych", objeżdżająca mniejsze miasteczka i wsie, a nie wliczona do podanego bilansu rocznego; ilość jego „imprez" wynosiła w r. 1950 — 6.162, w 1951 — 8.642, w 1952 — 11.335, w 1953 — 20.642; wzrost więc ilości „imprez" w ciągu 4 lat — trzykrotny; ilość widzów: w 1950 — 2.177.595, w 1951 — 3.804.099, w 1952 — 4.848.272, w 1953 — 5.011.370. Ilość widzów wzrosła więc w ciągu tychże 4 lat nieco więcej niż dwukrotnie. W rachunku przeciętnym wypada: w r. 1950 — około 335 widzów na jedno przedstawienie, w 1952 — jeszcze około 430, zaś w r. 1953 — już tylko około 250 widzów. Spadek więc w ciągu jednego roku z 430 na 250, czyli spadek niemal dwukrotny.

Cyfr tak dokładnych dla stałych teatrów warszawskich i wojewódzkich nie mam, nie brakuje wszakże dowodów pośrednich, że i w większych miastach — tak samo, jak na głuchej prowincji — publiczność coraz wyraźniej odwraca się od teatru. Trawestując jedno z powiedzeń Lenina — twierdzić można, że publiczność polska w sprawie teatru, jaki reżym jej daje, — „głosuje nogami", a więc — ucieka od teatru...

ISTNIEJE wprawdzie przymus chodzenia na przedstawienia, ale i przymus nie wypełnia widowni, w najlepszym razie — wypełnia ją nie zawsze i częściowo tylko. Nie tak dawno *„Życie Literackie"* ubolewało bezradnie nad stanem rzeczy w Krakowie: „przydzielane różnym zakładom pracy bilety nie są wykorzystywane" — robotnicy przysyłane im bilety „wykupują", ale zapłaciwszy — „do teatru nie idą", skutkiem czego „widownia bardzo często świeci pustką"... *„Życie Warszawy"* notowało równocześnie, że na „przedstawieniu nawet barwnej sztuki Morstina" spędzona do teatru młodzież „ziewała, kręciła się, rozmawiała ze sobą", a „nawet spała i głośno chrapała"!... Zasypia nie tylko młodzież, spędzana na przedstawienia gwałtem. W *„Nowej Kulturze"* Roman Bratny opisywał wypadek, kiedy to grze aktorów w *„Zwykłej Sprawie"* Adama Tarna towarzyszyło smakowite chrapanie jegomościa, siedzącego w wygodnym fotelu pierwszego rzędu; po obudzeniu go i wylegitymowaniu okazało się, że uciął sobie drzemkę nie byle kto — chrapał pan delegat ministerstwa kultury i sztuki, przysłany na przedstawienie „służbowo" — dla oceny gry aktorów i dla obserwowania reakcji widowni...

Cóż jednak zmusza publiczność do takiego „głosowania nogami"? Poziom gry aktorów?... W pewnej, nawet niemałej mierze — tak, zwłaszcza

POLACY ZNÓW R

OD ROKU Świętego 1950 nie było w Rzymie polskiej pielgrzymki. Polska odcięta jest od Wiecznego Miasta nie tylko żelazną kurtyną polityczną, lecz i religijną, czy raczej antyreligijną. Utrzymywanie, coraz bardziej zresztą ograniczonej łączności z Rzymem papieskim, to była w oczach dzisiejszych władców naszego Kraju, największa zbrodnia Prymasa Polski i uwięzionych biskupów. Dziś nikt już nie przybywa z nad Wisły do Rzymu. Emigracja zaś jest uboga. Tylko od czasu do czasu — jak w r. 1950 i teraz w r. 1954 — można się zdobyć na pielgrzymki stosunkowo nieliczne.

W wielkim, o światowej sławie katolickim sklepie międzynarodowym, Savelli, gdzie zamawiam formularze Błogosławieństwa Papieskiego dla grona młodzieży polskiej, nie ma już arkuszy w języku polskim. Po poszukiwaniu przynoszą mi ostatni — widać, że ze starych bardzo zapasów.

Gdy wraz z p. Domańskim na Via della Conciliazione, tuż przy placu św. Piotra, usiedliśmy na chwilę w kawiarni, kelner wdał się natychmiast z nami w rozmowę, usiłując odgadnąć naszą narodowość. Szwedzi, Duńczycy, Irlandczycy, Belgowie? — wymienia po kolei wszystkie narody północno-europejskie po tej stronie kurtyny. Nie sięga myślą za mur, którym w Jałcie rozpołowiono Europę. Wreszcie naprowadzam go na Polskę. „Polacchi! — wykrzykuje — Polacchi di Anders!" — dodaje zaraz z tym wyjaśnieniem, które mu najprościej i najbardziej zrozumiale tłumaczy polską emigrację polityczną.

Pielgrzymka do Włoch z okazji rocznicy bitwy o Monte Cassino spełniła, jak sądzę, dobrze swą rolę. Odświeżyła w tym kraju, z którym w dziedzinie kulturalnej tyle nas zawsze łączyło, pamięć o Polsce, pamięć o narodzie dziś od Zachodu odgrodzonym.

Polacy znów byli w Rzymie! Polacy z W. Brytanii, Francji, Niemiec, Szwajcarii, Belgii, Argentyny, nie mówiąc o Polakach z Włoch. Szkoda wielka, że z wyjątkiem samej uroczystości na Monte Cassino, pielgrzymki polskie chadzały własnymi drogami i nigdzie nie udało się ich zgromadzić razem na . . . rodaków rozmowach.

Pielgrzymka z Wielkiej Brytanii powstała z szczęśliwej inicjatywy S.P.K. Zorganizowana zaś była sprawnie przez firmę „Fregata", której dyrektor dr Zieliński, dwoił się i troił w czasie drogi, by zaradzić takim czy innym brakom lub niedociągnięciom.

Wyprawa udała się pod każdym względem. Wszyscy opuszczaliśmy Italię pod bardzo silnym wrażeniem i w pełni zadowoleni. Program został wykonany i wypełniony od początku do końca bez żadnych uchybień i napewno nikt nie żałuje trudów i kosztów poniesionych.

No, a krytyka? Do tej krytyki byliśmy zachęcani przez samych organizatorów i inicjatorów pielgrzymki. Tym śmielej stwierdzam, że nie było powodów do skarg, jeśli pominiemy te, które wynikały raczej z nadmiaru indywidualizmu niektórych uczestników. Wydaje się, że w przyszłości — bo należy mieć nadzieję, że idea pielgrzymek do Rzymu i na polskie cmentarze wojskowe w Italii nie tylko nie zaniknie, lecz się rozwinie — należałoby co najwyżej dbać, nawet za cenę zwiększenia opłat, o lepsze zapewnienie miejsc w wagonach dla uczestników wycieczki. Pielgrzymka z W. Brytanii nie mogła się pomieścić w jednym zamówionym wagonie. Bezdomni czy też bezwagonowi byli nieraz skazani na zdobywanie sobie miejsc, czego należałoby uniknąć w przyszłości. Drugim może błędem, wynikającym z oszczędnego obliczenia kosztów podróży, była droga z Rzymu do Loreto. Trasę tę stosunkowo krótką odbyliśmy w niezbyt wygodnym pociągu w nocy, z przesiadaniem w Anconie, skąd znowu koleją do pobliskiego Loreto, gdzie trzeba było załadować rzeczy na autobusy do miasta na górze, tam je wyładować, by po paru godzinach znowu załadować na wozy udające się na stację, w Loreto. Czy nie byłoby prościej te krótkie przestrzenie przebywać w dzień autobusami bądź wprost z Rzymu, bądź w najgorszym wypadku z Ancony do Loreto? To są jedyne grzechy, które pamiętam i które ... usprawiedliwiam.

Loreto i jego piękno wynagrodziło wszelkie niewygody, o których szybko zapomnieliśmy, a nieprzespana noc z Rzymu do Ancony, wzdłuż dobrze znanego mi szlaku, pozwoliła się raz jeszcze przekonać o odbudowie Italii w ciągu ostatnich paru lat. Na miejsce poniszczonych przez wojnę staroświeckich dworców powstały nowoczesne, schludne, estetyczne zabudowania. Nad wszystkimi zaś zapanował nowy dworzec centralny w Rzymie, chyba najpiękniejszy w Europie.

★

W RZYMIE mieszkaliśmy w *Domus Pacis* przy Via Auerelia Antica za Watykanem wśród nowej, powstającej, nieznanej mi dzielnicy. *Domus Pacis* to rodzaj komfortowego hostelu powołanego do życia przez Akcję Katolicką na rok Jubileuszowy 1950.

Przestronne sale, kanalizacja, (szkoda, że ciepłej wody nie było częściej)

Z KRONIKI KRAJOWEJ

A W JARZMIE

poza Warszawą, na prowincji. Są oczywiście i występują jeszcze tacy koryfeusze sceny, jak wiecznie młody Solski, Zelwerowicz, Leszczyński, Adwentowicz, Fertner... Jest Brydziński i Ćwiklińska, Perzanowska i Eichlerówna, Barszczewska, Kurnakowicz, Woszczerowicz, Kondrat... Nie brak zdolnych i w młodszym pokoleniu, i w najświeższym nawet narybku... Występują oni jednak prawie wyłącznie w Warszawie. Poza stolicą — bieda z nędzą, a nawet gorzej jeszcze. Nie gdzie indziej, tylko w *„Nowej Kulturze"* czytać można było „gorzką konstatację", że w teatrach prowincjonalnych „reżyserem jest najczęściej zwykły aktor, aktorem — statysta, a statystów albo nie ma, albo rekrutuje się ich byle gdzie i byle jak"... Cytowany już Roman Bratny zwierzał się ze swej „ponurej przygody": „po przybyciu na pierwszą próbę prapremiery swej sztuki w prowincjonalnym teatrze — zdziwiony ujrzałem dwie sterane życiem kobiety i w czasie czytania tekstu ważyłem w myślach, która też z nich grać będzie rolę 20-letniej, a która 60-letniej bohaterki"!... Niemal równocześnie *„Trybuna Ludu"* utyskiwała, bezradnie zresztą, że do teatrów mniejszych, objazdowych zwłaszcza, przyjmowani są „w charakterze aktorów ludzie o zaszarganym obliczu moralnym, amatorzy o nikłej przydatności artystycznej, kombinatorzy, po usunięciu skądinąd szukający tutaj przytułku"... Ostatnio, bo w końcu kwietnia, w *„Nowej Kulturze"* Jerzy Rakowiecki wysunął jeszcze moment nadmiernego przeciążenia pracą ludzi teatru, co w konsekwencji musi się odbijać na poziomie gry; według niego — jest dzisiaj w Polsce około 1300 aktorów wykwalifikowanych; z tego grubo ponad 1/3, bo prawie 600, gromadzi Warszawa, paruset kilka miast większych a uprzywilejowanych; na teatry prowincjonalne przypada przeciętnie po 11 aktorów: „W tych warunkach każdy aktor musi grać dziś wszystko i we wszystkim, nie ma czasu nawet na myślenie, stając się — jakżeż często! — już tylko przyrządem, jakąś nową odmianą szafy grającej!"... To nie wszystko. Wrogiem teatru — woła dalej Rakowiecki — „wrogiem coraz większym" staje się film, który swój „plan produkcyjny" (w roku ubiegłym 10, w tym 15 filmów pełnometrażowych) „wyrabia przede wszystkim kosztem teatru". „Dyrektorzy chodzą bladzi i przerażeni — z jednego tylko z teatrów warszawskich zabrano do filmu jedenastu aktorów, będących w stałym repertuarze, w najbliższym czasie ubędzie jeszcze czterech"... Ale i to nie wszystko jeszcze!... Bo oto „wiele miast dopomina się o (nowe) placówki teatralne"; „trzeba będzie zaangażować już Diogenesów, by szukali ze światłem człowieka do teatru"; „nie pomyślano zawczasu o wzroście potrzeb kulturalnych mas, nie uczono ludzi na zapas, nie dbano ani o szkoły, ani o krytykę!"...

Zespół zbyt szczupły w stosunku do ciężaru zadań, nie mający „czasu nawet na myślenie", nie mający „sił ani ochoty" na czytanie czegokolwiek poza rolą, którą mu przydzielono, żyć musi w dodatku w nieustannym lęku. Strzeżonego Pan Bóg strzeże, więc w takim *„Artosie"* np. konferansjerka polega na odczytywaniu artykułów z *„Trybuny Ludu"* lub uchwał partyjnego Synhedrionu!... I ileż to energii pożera ten lęk!... W prasie często spotkać można utyskiwania i pretensje o to, że „sztukę wystawiono niedbale", że „reżyseria nie na wysokości zadania, że „dekoracje pozostawiają wiele do życzenia" lub że są „zgoła skandaliczne"!... Dlaczego? A oto dlatego, że lęk każe dyrektorom i reżyserom łapać czujnie każdy wiatr, wiejący z reżymowej góry... Oto przygotowuje się do wystawienia jakąś sztukę, włożyło się już w nią dużo pracy i zespołowej, i indywidualnej, i oto, gdy premiera ma być już „pojutrze" — jakiś reżymowy kacyk wygłasza jakąś nieoczekiwaną sentencję... Dyrektor i reżyser muszą dostosować się do tej sentencji!... „Dawaj won!" sztukę już przygotowaną!!... Bierze się nową, przygotowuje się na gwałt, by być w zgodzie z najświeższą sentencją kacyka, — już, już „jutro premiera"! — a tu nagle inny kacyk stawia sprawę po swojemu, inaczej, niemal do góry nogami!... I znowu: „dawaj won!" — „dawaj natychmiast bez przygotowania" sztukę inną. Zdarzył się taki wypadek: kiedy w sztuce *„Biskup Nanker"* dekoracje malowano ... w trakcie przedstawienia ... I choć pracowała „cała brygada dekoratorów i malarzy" zdołano w piekielnym pośpiechu, powtarzam: w trakcie przedstawienia! — zrobić dekoracje tylko do trzech aktów. A że sztuka miała aktów pięć — więc przedstawienie przerwano i wezwano publiczność, by na dwa ostatnie akty przyszła — nazajutrz!... Historia z tym „malowaniem w trakcie przedstawienia" należy do wypadków krańcowych i najjaskrawszych... Ale jeśli weźmie się jako przeciętną sytuację o 50, czy nawet o 75 proc. łagodniejszą od tej krańcowości, to i tak jeszcze reżyseria nie będzie mogła nie pozostawiać „bardzo dużo do życzenia"...

Czytaj książkę polską

Z TEATRU

WSKRZESZONA KOMEDIA MUZYCZNA

Wyprzedzając meteorologię teatr wywiesił białą chorągiew i zrezygnował — ponoć na razie — z wielkiego repertuaru i przygotował na okres ogórków, skwarów i letniej kanikuły lekką komedię muzyczną. Zrobił to z dużym wdziękiem „rękami" **„Teatru Komedii Muzycznej"** pod obecnym kierunkiem Zygmunta Rewkowskiego, prezesa ZASP, wystawiając muzyczny żart pt. **„Szczęście od jutra"** oparty na komedii Noel Cowarda **„The private life"** (Życie prywatne).

Z komedii angielskiej pozostał właściwie tylko szkielet sceniczny, niemal wszystko inne jest bowiem polskiego wyrobu: koncepcję sceniczną dał przed dwu laty Wacław Radulski, gdy w pierwotnej wersji pierwszy zespół wyruszył na objazd po prowincji nie dojeżdżając do Londynu. Bardzo udatne dekoracje, wyobrażające taras hotelowy i okno na Champ Elisées z sylwetką wieży Eifla, są dziełem J. Smosarskiego. Teksty piosenek zgrabnie spolszczył E. Chudzyński, a Ludo Philip występujący nie po raz pierwszy w roli bezinteresownego mecenasa polskiego teatru muzycznego skomponował muzykę, rozpisał na dwa fortepiany i gra razem z Jerzym Kropiwnickim. Przyczyniła się też do tego widowiska i p. Pola Gobińska, układając zabawne tańce w 3 akcie.

Nie najmocniejsze, ale również polskie, są głosy, na które rozdzielono ten kwartet komediowy, w którym urok młodości reprezentuje p. **Ewa Suzin**, urodę i elegancję p. H. Kitajewicz, nieodparty komizm S. Ruszała, uwodzicielstwo i rozbawienie Z. Rewkowski.

Ta pełna mechanicznie symetrycznego przypadku historia dwóch par niewłaściwie do siebie dobranych partnerów szczerze rozśmiesza, bawi oko, wpada w ucho i działa w miarę ekscytująco i ożywczo, tyle, ile potrzeba na upały — jeśli tylko przyjdą — i do wypoczynku, dobrze zasłużonego przez wszystkich, którym ta imaginacyjna podróż do Paryża musi starczyć za sam Paryż. Komedia ta powinna długo utrzymać się na afiszu, nim na jesieni nie zluzują jej poważniejsze przedsięwzięcia repertuarowe. Tymczasem bawmy się bo kto wie, czy pogoda w ogóle nas nawiedzi. **(On)**

ŻOŁNIERZ

„... jeśli porównamy wszystkie fachy i wszystkie zajęcia, które ludzie wykonywują, jeżeli porównamy wszystkie prawdy o pewnej wartości człowieka w wykonywaniu jego pracy, to jest jedna prawda, która żołnierza najwyżej stawia, jest jeden fakt niezaprzeczony, który się rzuca w oczy, a który się tak trudno przyjmuje, — że żołnierz jest tą istotą, która musi żyć i umierać nie dla siebie, a dla innych".

„... Chciałem, by w wielkiej wojnie światowej, toczonej na polskiej ziemi, gdy żołnierz ze swym mundurem i bagnetem wedrze się do każdej niemal chaty i zagrody naszych wsi, żołnierz polski nie pozostawał malowanką, oglądaną przez grzeczne dzieci nieraz pokryjomu po kątach. Chciałem, by Polska, która tak gruntownie po 1863 r. o mieczu zapomniała, widziała go błyszczącym w powietrzu w rękach swoich żołnierzy".

„Mówiąc o żołnierzu, nie unoszę się sentymentem, który liczy ofiary poniesione obficie przez żołnierza szarego, o nieznanych imionach, podczas gdy tryumf i sława spada na wodzów, mówię o żołnierzu jako naturalnej podstawie każdej zdrowej armii, mówię o duszy żołnierza, od której zależy wolne państwo i honor armii".

„dla dobrego żołnierza nie ma położenia, z którego z honorem wyjść nie można".

„Niepewność wartości swego czynu, niepewność jego skutków, myśl, że potoki krwi wytoczone być mogą daremne — oto ciężar ogromny, który dźwiga żołnierz bez ojczyzny, bez państwa, bez rządu".

Józef Piłsudski

Z. STAHL

Instytucje państwowe i społeczeństwo

NIEDAWNO ukazała się w Londynie książka będąca publicystyczną obroną pewnego anachronistycznego i szkodliwego stylu politycznego z drugiej połowy XVIII stulecia. Tą książką był historyczny reportaż Stanisława Mackiewicza pt. „Stanisław August", a stylem — wzgardliwe lekceważenie woli społeczeństwa i czynników moralnych przez rządzących.

Obecnie okazuje się, że książka ta miała bardziej aktualny i dalej idący cel, niż można było poprzednio przypuszczać. Została bowiem ostatnio dokonana próba narzucenia w praktyce politycznego stylu owej schyłkowej epoki naszemu dzisiejszemu życiu państwowemu na wygnaniu, naszym bezcennym a tak trudnym do utrzymania instytucjom państwowym poza krajem.

Czy może to przynieść pożytek wielkim zadaniom, jakie mamy do spełnienia? Czy ów styl przestarzały i zgubny przed dwustu blisko laty miał by odpowiadać polityce polskiej nowoczesnej?

Stanisław August Poniatowski, ostatni Król dawnej Rzeczypospolitej — wbrew najlepszym tradycjom polskich monarchów — nie był żołnierzem tylko dyplomatą, a narzucony Polsce przez Katarzynę, nie miał za sobą nigdy serca narodu, nie reprezentował w istocie nigdy woli jego większości.

Król dyplomata i racjonalista nie umiał nigdy zdobyć serca ani nawet zaufania rycerskiego narodu. Jego metody kopały coraz głębszą przepaść między głową państwa a masami narodu. Król prowadził politykę polską mimo lub nawet przeciw woli narodowej, walczył intrygą dyplomatyczną oraz intrygą zakulisową. Cynik i członek tajnej sekty masońskiej nie umiał i nie chciał wiązać polityki państwowej z siłami moralnymi odrodzenia narodowego. Nawet w stuleciu XVIII musiało to skończyć się katastrofą.

Publicystyczna obrona tego stylu w dzisiejszej literaturze polskiej, a tym bardziej wszelka próba jego zaprowadzenia w konkretnej polityce legalnych władz państwowych na emigracji, musiała by sprowadzić zgubne dla nich skutki. Lekceważenie wartości moralnych, tajna dyplomacja, uprawiana w stosunku do własnego społeczeństwa, łamanie danego słowa, gierki i intrygi wśród swoich zamiast akcji na większą skalę w polityce międzynarodowej — to wszystko może tylko podkopywać podstawy naszego ustroju konstytucyjnego na obczyźnie i czyni zupełnie jałową działalność naszego Rządu.

Między naszymi instytucjami państwowymi a społeczeństwem musi się pogłębiać spójnia wzajemnego zaufania i zrozumienia, a nie otwierać przepaść konfliktu. Dzisiejsze społeczeństwo polskie jest zresztą zbyt dojrzałe na to, by pozwolić z jednej strony na otwarcie tej przepaści, a z drugiej na zlekceważenie swojej woli. Potrafi ono przeprowadzić ją przy równoczesnym utrzymaniu swoich instytucji prawnych. Nowoczesna polityka musi być polityką narodowo-państwowego współdziałania, a nie nonsensownej i zgubnej walki z powszechną wolą czynnych publicznie i świadomych obywateli.

F I L M

UPIÓR Z ULICY MORGUE. Przerażony widz otrzymuje sporą dawkę okropności, wzmocnionej efektami filmu trójwymiarowego (Warnercolor). Ostrzeżono go przed tym na afiszach, które stwierdzały, że scenariusz jest osnuty na znanej powieści Edgara Allana Poe. Fabuła obraca się dokoła morderstw popełnionych na kobietach przez goryla, przy czym podejrzewa się o morderstwa szereg niewinnych ludzi, którym grozi gilotyna za niepopełnione zbrodnie, zamiast za grę. Kara była by słuszna w obu wypadkach. Akcja toczy się w Paryżu w latach trzydziestych lub czterdziestych ubiegłego wieku. Wszystko przypomina Paryż i Francję za wyjątkiem postaci bohaterów, dialogów, gry i dowcipu. Widz zatem nie mdleje z przerażenia, lecz po kilkunastu minutach czuje się zupełnie beztrosko i nawet wesoło. **(Claude Dauphin, Patricia Medina, Karl Malden).**

THE NAKED JUNGLE („Naga dżungla" — w dowolnym tłumaczeniu). Konflikt psychiczny między bogatym i nad miarę ludzką energicznym plantatorem w dżunglach Amazonki i jego żoną, wybraną dla niego zaocznie i zaocznie poślubioną **(Charlton Heston i Eleanor Parker)** jest dość niezwykły (na szczęście) i raczej niespotykany w życiu normalnych zjadaczy chleba. Okoliczności jednak są także niezwykłe, akcja bowiem toczy się w atmosferze egzotyki przepojonej fascynującą grozą. Plantacja kawy, a z nią ludzie, zwierzęta i roślinność, wioski tubylców i piękny pałacyk plantatora są przedmiotem ataku nieubłaganego wroga — czerwonych, olbrzymich mrówek, których żuchwy niszczą wszystko na szlaku ich marszu. Wędrują olbrzymymi kolumnami zajmując przestrzeń wielu kilometrów. Walka z nimi jest kluczowym tematem filmu.

OJCIEC BROWN. Wydawać by się mogło, że sfilmowanie przygód i pogwarek, przede wszystkim pogwarek, czołowej postaci z na wpół kryminalnych na wpół filozoficznych powieści Chestertona jest zadaniem przekraczającym siły każdego reżysera i aktora. Myśl Chestertona, jego wspaniałe igraszki słowne, kalambury i akcja, której realizm polega na oderwaniu od potocznej rzeczywistości przy równoczesnym zachowaniu powszechnej, codziennej prostoty postępowania, nie stanowią tematu, którym mogłby się zachwycić producent filmowy, dysponujący środkami oddziaływania na widza stojącymi jaknajdalej od ideału pisarskiego Chestertona. Reżyser **Robert Hamer** pokusił się o tego rodzaju próbę, ze skutkiem trzeba przyznać, nadzwyczaj dobrym.

Alec Guiness jest współtwórcą tego dzieła w stopniu większym, niż zwykle bywa najlepszy nawet aktor. Bez jego genialnej gry, umiejętności operowania mimiką i wczuciu się w rolę poczciwego „świętego bez pretensji" jakim jest chestertonowski „Father Brown" film był by nudną próbą filmu kryminalnego bez koniecznych zdawałoby się atrybutów żywej akcji i tempa. Dzięki niemu powstał jednak obraz zastanawiający i pozostawiający więcej może wrażenia niż lektura książki. Wszyscy, którzy do kina chodzą film ten zaliczą do niewielu, które zobaczyć warto.

THE FLIGHT OF THE WHITE HERON jest najlepszym z dotychczas wyprodukowanych reportaży filmowych. Dobry kolor, brak dłużyzn, niemęczący komentarz. Tematem jest podróż królowej Elżbiety dokoła swego imperium. Film pełnometrażowy (96 minut), przeznaczony na „duży" ekran panoramiczny. Świetny podkład muzyczny w wykonaniu londyńskiej orkiestry symfonicznej.

Jakub Rożenek

SZWOLEŻEROWIE I UŁANI

13 czerwca br. odbyło się w Londynie w sali „Ogniska Polskiego" doroczne zebranie Koła żołnierzy 2 pułku szwoleżerów oraz 2 pułku ułanów Legionów Polskich. Po nabożeństwie w Brompton Oratory za poległych i zmarłych kolegów, rozpoczęły się obrady, poświęcone m.i. sprawie opieki nad niezamożnymi lub chorymi kolegami, oraz pogłębiania kontaktów z tymi członkami Koła, którzy przebywają w Stanach Zj. A.P., Kanadzie, Brazylii i innych krajach zamorskich. Dokonano wyboru nowych władz Koła: Prezes — gen. Klemens Rudnicki, wiceprezes — płk. Bol. Świdziński (jeden z nielicznych już żyjących uczestników sławnej szarży pod Rokitną), oraz rtm. Gałecki — sekretarz.

Zjazd odbywał się w 39-rocznicę szarży pod Rokitną, w której polska kawaleria pod dowództwem śp. rtm. Dunin-Wąsowicza okryła się nieśmiertelną chwałą *(W)*

BYLI W RZYMIE

smaczne, obfite, choć proste jedzenie, cisza w nocy, otaczające ogrody — wszystko to stwarzało atmosferę bardzo przyjemną. Wynagradzała ona oddalenie od miasta, co przedstawiciele prasy i radia nieco odczuwali.

Gen. Anders mieszkał razem z nami. Nie widzieliśmy go wszakże wiele. Rano nieraz o 8 wyjeżdżał już do miasta na długą serię rozmów i spotkań i wracał późno wieczorem. Ten swój program przerwał bodaj raz tylko, by pożegnać wartowników z Niemiec, którzy w mundurach wzięli udział w manifestacji na Monte Cassino i zakwaterowani byli również w *Domus Pacis*. Odbyli oni pielgrzymkę nie tyle pod dowództwem swych oficerów, co pod kierownictwem swych kapelanów, z ks. kanonikiem Januszem na czele i stanowili specjalny i sympatyczny akcent w polskiej masie.

Wieczorami, przy stołach w ogrodzie, gen. Anders dzielił się z nami wrażeniami, a raniutko przez głośniki (to był normalny i hostelowy nieco sposób porozumiewania się między rozległymi zabudowaniami *Domus Pacis*) wzywano alarmująco do telefonu „capitano Luigi". Polacy orientowali się po tym wezwaniu, że należy wstawać. Pod tym bowiem kryptonimem ukrywał się skromnie kpt. Ludwik Łubieński.

★

RZYM posiada swoją zasiedziałą reprezentację i kolonię polską. Przede wszystkim więc ambasada Rzeczypospolitej. Raz jeszcze przekonujemy się, że to, co niektórzy nazywają „symbolami legalizmu", ma jednak znaczenie uchwytne i ważne w polityce międzynarodowej. Ambasada mieści się obecnie przy Viale Trastevere, nad Tybrem, nieco z dala od ulicy, w ogrodzie. W ostatnim dniu pobytu w poniedziałek 24 maja, udaję się tam, by złożyć uszanowanie ambasadorowi i pani Papèe. W gościnnych salonach ambasady zastaję również ks. prałata Meysztowicza, radcę ambasady.

Ambasador miał ostatnie dni wypełnione uroczystościami i wizytą gen. Andersa. Rozmowa toczy się też głównie na ten temat. Pp. Papèe opowiadają mi w szczególności o wydanym przez nich przed dwoma dniami przyjęciu dla korpusu dyplomatycznego. Byli na nim przedstawiciele hierarchii kościelnej, jak i wszyscy ambasadorowie i posłowie, akredytowani przy Stolicy Apostolskiej. W przyjęciu niezmiernie udanym, wziął również udział gen. Anders.

Ambasador dr. K. Papèe obchodzić będzie niebawem 15. rocznicę złożenia listów uwierzytelniających obecnie panującemu Papieżowi Piusowi XII. Jest dziś dziekanem Korpusu Dyplomatycznego, posiada więc w Rzymie pozycję wyjątkowo doniosłą. Lata jego misji nad Tybrem zbiegają się dokładnie z latami pontyfikatu Piusa XII. Czasy wojny światowej i do dzisiejszego dnia trwających prześladowań religijnych w Polsce, wypełniają całkowicie ten doniosły, wyjątkowy w historii stosunków Polski i Kościoła okres.

Jednym z wyrazów działalności amb. dr. K. Papèe jest opracowana przez niego książka, którą zastałem po powrocie w Londynie, wydana pod tytułem: *„Pius XII a Polska — 1939-1949 — Przemówienia, listy, komentarze"* — (Rzym 1954 — Editrice Studium — Roma).

Praca ta wydana staraniem Stowarzyszenia Intelektualistów Uchodźców we Włoszech (Associazione Intellettuali Rifugiati in Italia AIRI) jest zbiorem starannie zebranych i powściągliwie skomentowanych dokumentów, obejmujących różne wypowiedzi Ojca św. na tematy polskie, zawarte w Jego przemówieniach, orędziach, listach do Prezydentów Rzeczypospolitej, jak i do Episkopatu Polskiego.

Opracowany przez amb. Papèe okres to również czasy pobytu 2. Korpusu Polskiego we Włoszech. Znajdujemy więc w zbiorze przemówienie Ojca św. wygłoszone do żołnierzy polskich, teksty dotyczące audiencji ówczesnego Naczelnego Wodza, gen. K. Sosnkowskiego, jak i przyjęć gen. Wł. Andersa w Watykanie itd. Wszystkie te dokumenty, jak słusznie zaznacza w przedmowie amb. Papèe, powiedzą czytelnikowi polskiemu, że w ciągu omawianego dziesięciolecia „Polska była nieustannie obecna w myślach i uczuciach Piusa XII".

Książka powie mu również nieco o działalności Ambasady R. P. przy Watykanie. W gmachu jej odczuwamy zatem szczególnie silnie znaczenie legalizmu, zdajemy sobie lepiej sprawę, jak ujemne byłyby następstwa takich posunięć, które przyniosłyby uszczerbek ciągłości prawnej legalnych władz Rzeczypospolitej. Stąd, nie ukrywam, że komplikacje związane ze sprawą zjednoczenia politycznego i niepokojące wieści nadchodzące do Włoch z Londynu, były przyczyną uzasadnionych trosk w polskich kołach Rzymu. Sprawa ta wracała nieustannie w dyskusjach i rozmowach nad Tybrem.

Ambasadą kieruje nieliczny bardzo zespół. Jej sprawami materialnymi i administracyjnymi zajmuje się energicznie i umiejętnie, jak wszyscy to twierdzili, p. Kazimierz Krzepisz, kaliski kolega gimnazjalny piszącego te słowa. Boże, jakie to dawne czasy, gdyśmy... Lecz nie wpadajmy we wspominkarstwo. *R. P.*

VIII ZJAZD ZWIĄZKU INWALIDÓW

VIII Walny Zjazd Związku Inwalidów odbył się w Londynie 29 i 30 maja 1954 pod przewodnictwem p. J. Narożańskiego, obok którego zasiedli w Prezydium pp. dr. J. Dąbrowski, B. Jagiełowicz, W. Sukowski i K. Witkowski. Imieniem Prezydenta R.P. oraz rządu był obecny na otwarciu min. Z. Rusinek, Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych reprezentował gen. St. Kopański, ponadto ks. inf. B. Michalski przybył z ramienia duchowieństwa, p. M. Przedrzymirski — SPK, p. W. Quirini — Zjednoczenia Polskiego. W zjeździe wzięło udział 85 delegatów z W. Brytanii, Francji i Niemiec.

Bogatą i owocną działalność organizacji przedstawił prezes Zarządu Głównego p. D. Maciejko, podkreślając na wstępie dobroczynne skutki scalenia organizacji inwalidzkich, dokonanego na poprzednim, VII Walnym Zjeździe Inwalidów. Wpływy z ofiarności publicznej na pomoc inwalidom wzrosły w okresie sprawozdawczym do kwoty 13.634 funtów, powstałej z datków, przeważnie drobnych, pochodzących od rodaków, rozsianych po całym świecie. Polskich inwalidów w krajach świata wolnego jest 8.000, z czego ponad 6.000 — w W. Brytanii, ponad 1.000 — we Francji, kilkuset — w Niemczech i kilkudziesięciu — we Włoszech. Wielu spośród nich, niezależnie od otrzymywanych rent państwowych, wymaga dodatkowej pomocy, której udziela Związek. Wymagających pomocy inwalidów jest w W. Brytanii — 3.500, Francji — 600, Niemiec — 600, Włoch — 50. Ponadto istnieje problem przesiedlenia wszystkich inwalidów polskich z terenu Niemiec, gdzie niechętny stosunek do nich utrudnia egzystencję. Z powodu ich stanu zdrowia, zwłaszcza odnośnie do licznych gruźlików, sprawa ta napotyka na znaczne trudności.

Związek Inwalidów rozprowadza pomoc materialną za pośrednictwem Komisji Pomocy Indywidualnej przy Zarządzie Głównym dla zamieszkałych w W. Brytanii, a za pośrednictwem Zarządów Oddziałów i Delegatur na terenie poszczególnych krajów innych rozsiedlenia inwalidzkiego. Ponadto rozwinęła się pomyślnie pomoc, organizowana na rzecz polskich inwalidów — przy współdziałaniu Związku — przez rozmaite inne stowarzyszenia, które przeprowadzały akcję rozsyłania paczek. Pożyteczną tę i szlachetną akcję przeprowadziły: SPK w Kanadzie na największą skalę, a dalej Krąg Starszoharcerski w Chicago, p. A. Łagodzińska, prezeska Związku Polek w Ameryce, ks. Burant, wreszcie ze stałą pomocą przychodzi zwłaszcza inwalidom polskim i gruźlikom w Niemczech Centrum Przyjaciół Żołnierza Polskiego w Detroit. W okresie 1952—54 pomoc ta wyniosła około 6.700 funtów. Ponadto na terenie Stanów Zjednoczonych przeprowadza corocznie akcję zbiórkowa na rzecz inwalodów Stowarzyszenie Weteranów Polskich, którego Zarząd Główny stanowi zarazem Centralną Delegaturę Związku w Stanach Zjednoczonych. Okazyjnie przeprowadzają takie zbiórki również inne organizacje polonijne.

Ogółem rozdano inwalidom w okresie sprawozdawczym £ 19.813, z czego bezpośrednio Zarząd Gł. Związku wypłacił £ 8.963, Koła Związku Inwalidów w W. Brytanii — £ 850, inne stowarzyszenia i instytucje — około £ 10.000.

Pomoc inwalidom i rodzinom w Kraju odbywała się za pośrednictwem paczek. W zakresie opieki nad dzieckiem i młodzieżą Związek współpracuje z innymi organizacjami m.in. przy imprezach jak Gwiazdka, św. Mikołaj. W sprawozdaniach z uznaniem podkreślono stałą współpracę ze Związkiem Inwalidów szeregu organizacji Polonii Amerykańskiej, a w szczególności: Stow. Weterantów Armii Polskiej i jego placówek, Macierzy Polskiej Koło Nowa Polonia w Chicago z p. Lydią Pucińską, Stow. b. Żołnierzy PSZ w Cleevland, Stow. Nowej Emigracji w Chicago, Centrum Przyjaciół Żołnierza w Chicago z p. Agnes James, Ligi Kobiet, ks. B. S. Rosiaka.

Po sprawozdaniu odbyła się ożywiona dyskusja, w wyniku której udzielono ustępującemu Zarządowi absolutorium z podziękowaniem. Osiągnięcia w pracy opiekuńczej, w dziale gospodarczym i organizacyjnym wskazują, iż Związek stał się dzisiaj nie tylko organizacją reprezentującą inwalidów, ale zaspokajającą w dużej mierze ich potrzeby.

Zjazd z uznaniem podkreślił życzliwy stosunek społeczeństwa polskiego poza Krajem i jego ofiarność w akcjach zbiórkowych na rzecz inwalidów. Uchwalono na okres kadencji nowego Zarządu budżet na kwotę £ 23.500. Jest to kwota bardzo wysoka i musi być wypracowana, aby rozwiązać przynajmniej częściowo obowiązki opieki nad inwalidami. Zadanie to będzie tylko wtedy wykonane o ile Polonia Amerykańska i wszyscy inni Polacy poza granicami Kraju przyjdą z pomocą Związkowi.

Zjazd uchwalił następujące rezolucje: w sprawie Aktu Zjednoczenia, w sprawie Kraju, podziękowanie społeczeństwu polskiemu, podziękowanie prasie polskiej.

Zjazd wybrał nowe władze: **Zarząd:** prezes — D. Maciejko, oraz członkowie — E. Długoszewski, M. Hakemer, M. Jasiński, H. Janiszewski, B. Jagiełowicz, A. Krajewski, Z. Kotkowski, M. Lang, W. Matujzo, P. Woźniak. **Komisja Rewizyjna:** J. Kosowicz, E. Kwaśnik, J. Majewski, J. Narożański, J. Oberleitner, a jako zastępcy — P. Kuś, A. Dybarcwicz, W. Nowosielski, M. Murmiło. **Sąd Koleżeński:** K. Czapski, P. Galiński, J. Jar, W. Kalinowicz, A. Malewski, M. Obertyński, S. Polański, K. Witkowski, S. Wróblewski, W. Zdrzałka.

INWALIDZI — KOŁO LONDYN

Walny Zjazd Związku Inwalidów poprzedzony był dość burzliwym zebraniem londyńskiego Koła Inwalidów, odbytym w dniach 2 i 9 maja. Sprawozdanie składał na tym zebraniu p. A. Dubeński, p.o. prezesa podczas ostatnich dwu miesięcy kadencji, który zajmował krytyczne stanowisko wobec swego poprzednika p. K. J. Ługowskiego oraz wobec Zarządu Głównego organizacji. Krytyczne to stanowisko nie znalazło oddźwięku wśród większości zebranych, co wyraziło się w składzie nowych władz Koła Londyn. Do nowego zarządu weszli: przewodniczący — J. L. Oberleitner, wiceprzew. — M. Obertyński, sekr. — K. Ługowski, skarbnik — W. Cysewski, członkowie — P. Kuś, St. Niedźwiałowska, J. Lisowski. Komisja Rewizyjna: K. Witkowski, I. Wierzbicki, A. Makodoński. Delegaci na Zjazd: J. L. Oberleitner, K. Stafiej, F. Kuś, B. Łokaj, St. Zięciakiewicz, K. Zdrzałka. (s)

PIERWSZA INSTALACJA DUCHOWNEGO W POLSKIM KOŚCIELE EWANG.-AUGSBURSKIM NA OBCZYŹNIE

W związku ze zorganizowaniem Polskiego Kościoła Ewang.-Augsburskiego na Obczyźnie odbyły się w dn. 4 kwietnia br. wybory proboszczów w parafiach Birmingham, Cambridge i Leeds, zgodnie z dekretem Prezydenta R.P. z dn. 15 grudnia 1952, Wewnętrznym Prawem Kościoła i uchwałą Konsystorza Kościoła.

Wybrani przez parafian stali proboszczowie zostali zatwierdzeni przez Konsystorz. Pierwsze uroczyste wprowadzenie w urząd stałego duszpasterza odbyło się w Poniedziałek Świąteczny, dn. 7 bm. w parafii Cambridge, gdzie został instalowany ks. pastor Eryk Cimała.

W wypełnionym po brzegi dużym kościele św. Michała aktu instalacji dokonał J.E. ks. biskup Wł. Fierla, w asyście ks. ks. radców F. Arlta, i T. Stoya oraz dr. D. L. Ostergrena, przedstawiciela Światowego Związku Luteran, ks. dr. M. Waltersa i ks. N. Sandersa z Australii, który przekazał pozdrowienia z polskiej parafii Ew.-Augsburskiej w Adelaide.

Po akcie instalacji ks. proboszcz E. Cimała wygłosił kazanie.

Po uroczystościach kościelnych odbyło się przyjęcie, z udziałem ponad 200 osób, w czasie którego J.E. ks. bp. Fierla udekorował ks. pastora E. Cimałę — Złotym Krzyżem Zasługi, nadanym na wniosek rządu przez Prezydenta R.P. w uznaniu zasług ks. E. Cimały za jego prace na polu narodowo-kościelnym.

Wygłoszono szereg dalszych przemówień, z których na podkreślenie zasługują życzenia złożone przez ks. E. Geo Pearce'a, prezesa Rady Kościołów Ew.-luterskich w W. Brytanii. Odczytano szereg nadesłanych życzeń m.in. Generalnego Insp. PSZ, gen. W. Andersa.

Uroczystości ewangelickie w Cambridge są jeszcze jednym dowodem głębokiego przywiązania wiernych do Polskiego Kościoła Ewang.-Augsb. na Obczyźnie oraz wyrazem zrozumienia celowości pielęgnowania i rozwijania skarbów wiary w duchu i języku naszych ojców i braci pozostałych w Kraju, który tak bardzo potrzebuje otuchy wobec wzmagających się prześladowań ze strony bezbożnego komunizmu bolszewickiego. (age)

POLACY W BELGII

Zakończył się już w Belgii ten wielki „exodus", kiedy to dzięki pomocy IRO odpływali za oceany liczni Polacy, przede wszystkim tak zwani „nowi emigranci" z lat po zakończeniu wojny. Tu i ówdzie jeszcze ktoś wyjeżdża, ale to są raczej pojedyńcze zapóźnione ptaki odlotne, które dla takich czy innych powodów przesunęły swoją podróż. Przeglądając dzisiaj „kronikę polską" w pismach emigracyjnych, coraz to częściej spotkać można w Australii, Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, Brazylii i Argentynie, nazwiska znajomych osób z Belgii, które już tam się w sposób mniej lub więcej trwały „urządziły". Listy, które coraz rzadziej co prawda przychodzą, świadczą o tym, że osadnicy ci są na ogół zadowoleni.

W ten sposób — jeżeli się tak można wyrazić — zdjęta została wierzchnia, najświeższa warstwy emigracji polskiej w Belgii i coraz silniej wybijają się z powrotem na wierzch te jej uwarstwowienia, które osiadły w Belgii już dawniej, mniej więcej trzydzieści lat temu. Wtedy to, pojawiły się pierwsze poważniejsze fale emigracyjne, złożone zwłaszcza z górników, którzy przybywali najliczniej z Westfalii, z Francji, a potem i wprost z Polski. Jest ta emigracja dotychczas jak najbardziej patriotyczna, dając świadectwo starej prawdzie, jak trudno wynarodowić jest lud polski.

O tym myśleliśmy, gdy w styczniu br. starodawna organizacja polska w Belgii, Związek Polaków, obchodziła trzydziestolecie istnienia, łącząc ten obchód z poświęceniem nowego sztandaru. Widziało się wtedy na sali przedstawicieli tej emigracji ze wszystkich prawie większych osiedli polskich w Belgii.

Dawna też tradycję posiadają polskie stowarzyszenia katolickie, które dzisiaj zorganizowały się zwłaszcza w trzech kierunkach: 1) Stowarzyszenie Mężów Katolickich, 2) Związek Bractw Żywego Różańca Pań i Panien, 3) Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej.

Piękne obchody 30-lecia działalności odbyły się w Hautrage koło Mons (21 lutego br.) oraz w Waterschei w Limburgii (4 kwietnia br.). Czytano tam niezmiernie ciekawe kroniki towarzystw, które od samego początku rozwijały ożywioną działalność, zakładały szkoły polskie i brały udział we wszystkich obchodach patriotycznych. Przynależność do nich przechodzi nieraz z ojca na syna, jak o tym świadczy przykład trzech pokoleń Budzińskich.

Stowarzyszenie Mężów Katolickich w Belgii zwołało w dniu 25 kwietnia br. IV Walny Zjazd Delegatów. Mszę św. odprawił i piękne kazanie wygosił zasłużony i niezwykle czynny rekotr Polskiej Misji Katolickiej ks. Kubsz, poczem rozpoczęły się obrady w świetlicy Misji. Do Prezydium wybrano inż. Zaniewskiego jako przewodniczącego, p. Zarywskiego jako sekretarza i pp. Badera i Fr. Drożdżyniaka jako asesorów. Referat wygłosił p. Sobieski, który po półrocznym pobycie w Rzymie, gdzie bawił jako zastępca sekretarza Komitetu, przygotowującego uroczystości z okazji 1000-lecia przyjęcia chrześcijaństwa przez Polskę, w interesujący sposób przedstawił zebranym swoje wrażenia z Wiecznego Miasta. Mówca wskazał słusznie na rolę, jaką Stowarzyszenie Mężów Katolickich odgrywa w życiu społecznym Polaków w Belgii. Po sprawozdaniach członków Zarządu i udzieleniu absolutorium ustępującemu zarządowi, wybrano nowy w składzie następującym: prezes — J. Sobieski (Bruksela), wiceprezesi — M. Gruszczyński (Quaregnon) i Bader (Jumet), sekretarz — A. Drożdżyniak (Waterschei), zast. sekr. — Kotas, skarbnik — Klimas (Waterschei). Komisja Rewizyjna: Bujanowski, Cherkowski, Lisiak, Rzemieniewski.

W dyskusji omawiano plan pracy na przyszłość. Przedstawia się on nie tylko pod względem religijnym, ale również ogólno-kulturalnym interesująco i świadczy o żywotności Stowarzyszenia. Że plan ten nie pozostanie na papierze, tego rękojmię daja dotychczasowe wyniki.

Nie można też, gdy mowa o stowarzyszeniach katolickich, pominąć żywej działalności bractw Św. Różańca, rekolekcji, które odprawił w Brukseli i w Antwerpii proboszcz ks. dr. Brzezina itd.

Mało kto wie, że w Belgii studiuje w seminarium Księży Misjonarzy Oblatów w Velaines koło Tournai trzynastu polskich kleryków. Pierwsze święcenia nastąpią w tym roku. Wśród kleryków tych, znajduje się ppor. Jankowski z AK, żołnierz 2 Korpusu Marian Grabiński, oraz byli deportowani do Rosji. Większość z nich zdobywała wykształcenie średnie we Włoszech, a także w Anglii i w Les Ageux we Francji. Podkreślić należy, że nasi Księża Oblaci finansują te studia z największą trudnością.

Czynią się też przygotowania do wielkiej dorocznej pielgrzymki do Matki Boskiej w Montaigu, w dniu 7 czerwca, na którą zjedzie się około 3—4 tysięcy Polaków z całej Belgii. Jest ta pielgrzymka jak gdyby przeglądem aktywnych polskich sił katolickich w Belgii.

* * *

Bardzo żywa działalność rozwija w Belgii Stowarzyszenie Polskich Kombatantów. Prawdziwym wydarzeniem było otwarcie w Brukseli w dniu 21 lutego br. „Domu Kombatanta". Msze św. z okazji tej uroczystości odprawił ks. dr. Brzezina, proboszcz polski w Brukseli i zarazem kapelan Oddziału Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Belgii, który też poświęcił Dom i wygłosił piękne przemówienie. Przemówił również do zebranych min. dr. Jerzy Korab-Brzozowski, podkreślając rolę armii polskiej i spadkobiercy jej tradycji — SPK.

Dom Kombatanta jest skromny, ale bardzo schludny i urządzony ze smakiem, co nie może dziwić, skoro się zważy, że ówczesny wiceprezes Oddziału a obecny prezes p. Raf-Chrobak, jest utalentowanym artystą-malarzem. Z okazji otwarcia Domu nadeszły listy gratulacyjne od Pana Prezydenta R.P., od gen. W. Andersa, księżnej Jeanne de Mérode, gen. van Strydonck de Burkel, od kombatantów belgijskich, angielskich. Zarządu Głównego SPK w Londynie i wiele innych, zarówno z kół polskich jak i belgijskich. Na tradycyjnej „lampce wina" zebrało się wiele wybitnych osobistości ze strony polskiej i belgijskiej, a także kombatantów węgierskich.

Polacy w Belgii spodziewają się, że Dom Kombatanta stanie się ośrodkiem życia polskiego, nie tylko w Brukseli, lecz i w całej Belgii, zapełniając dotkliwą lukę, którą spowodowało zamknięcie domu Towarzystwa Pomocy Polakom w warunkach nad wyraz przykrych, za co niewątpliwie w dużej mierze ponosi odpowiedzialność Zarząd Główny TPP w Londynie.

W dniach 24 i 25 kwietnia br. obradował już w nowym domu doroczny Walny Zjazd Oddziału SPK Belgia. Zjazd zagaił prezes Fluder. Witali go min. J. Korab-Brzozowski imieniem rządu R.P., wiceprezes Zarządu Główn. SPK w Londynie S. Lis, kapelan Oddziału ks. dr. Brzezina imieniem Polskiej Misji Katolickiej i rektora K. Kubsza, p. T. Plater-Zyberk imieniem Macierzy Szkolnej, Skarbu Narodowego i Polskiego Instytutu Naukowego w Belgii, p. W. Dehnel imieniem Związku Polaków oraz p. J. Drobnik imieniem prasy polskiej. Przewodniczył Zjazdowi p. M. Dogilewski. W dniu 25. 4. br. Mszę św. na intencję Zjazdu odprawił ks. dr. Brzezina w kaplicy polskiej, poczem toczył się dalszy ciąg obrad. Po udzieleniu absolutorium ustępującemu zarządowi dokonano wyboru nowych władz, w składzie następującym: prez. Oddziału — W. Raf-Chrobak, wiceprezesi — pp. Marcinkowski i Goppold, sekretarz — p. S. Merło, skarbnik — p. W. Dehnel, członkowie Zarządu: pp. Gintowt, Małecki i Szumejko. W skład Komisji Rewizyjnej weszli jako członkowie pp.: T. Janta-Połczyński, A. Szenajch i J. Kołodziej; jako zastępcy — pp. S. Bieńczycki i K. Sitek.

Przewodniczącym Sądu Koleżeńskiego wybrano p. M. Dogilewskiego, w skład sądu weszli nadto: pp. S. Gutowski, L. Fluder, S. Mydlarz i S. Zajdenbajtel.

Dotychczasowy wieloletni prezes Oddziału p. L. Fluder został obrany przez aklamację członkiem honorowym. Zebranie postawiło poza tym wniosek o nadanie p. Fluderowi odznaki honorowej Stowarzyszenia.

Wysłano depesze do p. Prezydenta R.P. A. Zaleskiego, do gen. Andersa i do gen. Sosnkowskiego.

Przebieg Zjazdu był bardzo harmonijny i rzeczowy, a panująca na nim atmosfera dobrze rokuje o dalszej pracy Oddziału.

* * *

Jednym z najbardziej dodatnich w Belgii stowarzyszeń jest Polska Macierz Szkolna, której prezesem jest p. Tadeusz Plater-Zyberk. W organizacji tej dokonało się już dawno zjednoczenie Polaków. Współpracują w niej owocnie i rzeczowo ludzie rozmaitych niepodległościowych kierunków politycznych i należą do niej wszystkie niepodległościowe organizacje polskie. Jak owocna jest praca Macierzy, tego dowodzi fakt, że gdy powstawała ona we wrześniu 1952 roku, było w Belgii 26 szkół polskich i 16 nauczycieli. Do szkół tych uczęszczało wtedy 600 dzieci. W krótkim okresie swego istnienia praca Macierzy doprowadziła do tego, że jest dzisiaj 46 szkół, w których naucza 244 nauczycieli i do których uczęszcza 960 dzieci. Są to cyfry imponujące i nie można dość mocno podkreślić pożyteczności tej pracy z punktu widzenia polskiego. Macierz Szkolna jest dowodem, jak dużo można zrobić, gdy myśli się nie o kłótni, ale o pracy i gdy odkłada się na bok wszystkie osobiste względy. W projekcie Macierzy Szkolnej na rok obecny znajduja się m.in. kolonie letnie dla dzieci, a także zorganizowanie konkursu dla dzieci w związku z zakończeniem roku szkolnego. Na warsztacie są podręczniki szkolne do nauki języka polskiego. Tak więc nasza „Komisja Edukacyjna" spełnia dobra robotę.

* * *

Bruksela leży dzisiaj trochę na uboczu głównego nurtu polskiego życia emigracyjnego. Nie tak jednak na uboczu, żeby od czasu do czasu nie zjawiały się w niej osobistości wybitne, nawet z za Oceanu. I tak odwiedził w ostatnich dniach kwietnia Brukselę i zatrzymał się w niej przez kilka dni, wiceprezes Kongresu Polonii Amerykańskiej i prezes Krajowej Federacji Kupców i Przemysłowców w Ameryce (założ. w roku 1936) Ignacy Nurkiewicz. Przedstawiciele tutejszego społeczeństwa polskiego mieli sposobność spotkać się z nim na obiedzie i czarnej kawie, zorganizowanej przez ruchliwego i zawsze pełnego inicjatywy prezesa Związku Inżynierów, p. A. Łysakowskiego, w polskim hotelu De Boeck, przy ulicy Veydt, doskonale i na poziomie prowadzonego przez pp. A. Żelewskich. Z ożywieniem wymieniano poglądy, m.in. również na sprawy publiczne polskie. Prezes Nurkiewicz — z którym mieliśmy sposobność przeprowadzić jeszcze osobną rozmowę, — kładł specjalny nacisk na konieczność uporządkowania stosunków politycznych na emigracji. To, co się dotychczas dzieje, jest jego zdaniem, w najwyższym stopniu szkodliwe. Amerykanie polskiego pochodzenia chcą być dumni z narodu polskiego. Przebieg spraw w Londynie nie daje niestety podstawy do takiego uczucia. Polacy amerykańscy, przy współpracy z Amerykanami udziela niewątpliwie pomocy większej, gdyby stosunki w Londynie zostały uporządkowane. (xy)

POSZUKIWANIA

Jerzy Rodziewicz, ppor., ur. w 1924 w Bielsku Podlaskim, podczas wojny służył w PAL, przebywał ostatnio w obozie Milton w Szkocji — poszukuje rodzina w Argentynie.

Max Karas poszukiwany przez ojca w Niemczech.

CENY ZNIŻONE! CENY ZNIŻONE!

LEKARSTWA

do Polski listem poleconym. Cło tylko 30 zł. od opak.

STREPTOMYCYNA, 10 gramów	£1. 6.0
PENICYLINA olej. 3 milj. (lotn.)	£0.10.0
VITAMINA B-12: 24 amp. 50 mcg.	£0.14.0
RIMIFON ROCHE: 300 tabl.	£0.16.6

i wszelkie inne leki, okulary, przyrz. lekarskie i dentystyczne.

TAKŻE: WSYPY, WŁÓCZKA, PLASTYK, GUMA, SKÓRY, MATERIAŁY, ŻYWNOŚĆ (małe paczki „Polecone-Express") i wiele innych towarów o niskim cle i najlepiej opłacalnych obecnie w Polsce.

DO ROSJI i do Polskich Ziem Okupowanych (za linią Curzona), do Łotwy, Litwy i Estonii — specjalny cennik.

Poradnik i Cenniki wysyłamy na żądanie.

FREGATA (MERCHANTS) LTD.
7, Cromwell Rd., LONDON, S. W. 7.

Poszukujemy

doświadczonych **MASZYNISTEK**

DO SZYCIA BIUSTONOSZY

techniką na jedną i na dwie igły

Także uczennice do wszystkich działów produkcji

WŁASNA KANTYNA FABRYCZNA. 40 GODZINNY TYDZIEŃ PRACY. BONUSY I PRACA NA AKORD. MUZYKA W CZASIE PRACY. NAJWYŻSZE STAWKI PŁACY. PRZEWÓZ DO PRACY.

ZGŁOSZENIA:

EXQUISITE FORM (G.B.) LTD.,
92, WHITE POST LANE, HACKNEY, E.9.

PACZKI ŻYWNOŚCIOWE DO POLSKI

wysyła

SKLEP SPK

18, Queens Gate Tce, London, S. W. 7.

1 lb pieprzu 1 gat.	£0.17.6
1 lb kawy, 1 lb kakao, 1 lb herbaty, 1 lb czekolady w tabl.	£1.13.0
2 lbs kawy, 2 lbs herbaty i 2 lbs czekolady w tabl.	£2. 9.0
5 puszek à 4 onz Nescafé, 2 lbs herbaty i 2 lbs czekolady w tabl.	£2.12.0

WSZELKIE LEKI DO KRAJU
wysyła
Mgr. B. Dalski Mgr. L. Oliwa

APTEKA LTD.

THE BROMPTON PHARMACY
68, Fulham Rd., South Kensington
London, S. W. 3. Tel.: KEN 7410

3 mil. Pen. Ol. 10/-. Streptomycyna 10 gr. 26/-. 500 tabl. Rimifon £1.6.6. 20 cc. Cortisone 500 mg. 40/-. 12 amp. A. C. T. H. 47/6.
Wraz z wysyłką.

WŁADYSŁAW GUENTHER

Purytanizm w praktyce

POSTAĆ Williama E. Gladstona, jednego z twórców wiktoriańskiego Imperium, jest znana ogółowi. Ten brytyjski mąż stanu przeszedł do historii jako bezkompromisowy obrońca zasad kościoła protestanckiego i angielskiego izolacjonizmu, jako też twórca mądrych budżetów i dobrobytu Anglii.

Gladstone pochodził z bogatej rodziny kupieckiej, osiadłej w Liverpoolu od XVI w.; skończył Eton i Christ Church College w Oxfordzie; był wyniosłej postawy o pięknej głowie apostoła, posiadał dar słowa, był wyjątkowej siły fizycznej i mógł pracować *16* godzin na dobę... Te zewnętrzne walory Gladston pogłębiał w swym życiu codziennym sublimizując je do poziomu cnót chrześcijańskich!

Dotarł do treści duchowego życia Gladstona Filip Magnus, któremu spadkobiercy tego męża stanu otworzyli rodzinne archiwum. Na podstawie nieznanych przedtem tysięcy listów i dokumentów F. Magnus opracował monografię Gladstona, którą ma wydać z końcem br., ogłosiwszy na razie cztery jej rozdziały w marcowych numerach *Sunday Timesa*. Gladstone ukazuje się w nich nie jako polityk, ale jako człowiek, typowy dla brytyjskiej dumy i angielskiego purytanizmu XIX w.

Ukończywszy 25 lat, Gladstone postanowił się ożenić. Spotykając właściwą kandydatkę do stanu małżeńskiego, oświadczał się jej z miejsca listownie lub przez pośredników — dwukrotnie wywołując popłoch i zdziwienie swym nieoczekiwanym i nieprzygotowanym wystąpieniem. Dopiero za trzecim razem, mając sposobność zbliżenia się do rodziny Glynne w czasie *wojażu* po Włoszech, skłonił Lady Glynne do oddania mu jednej z dwu córek, zresztą chętnej do zmiany swego 27-letniego panieństwa na stan małżeński. Los był przychylny Gladstonowi, bo urocza Karolina Glynne okazała się najlepszą żoną i najlepszą matką czworga dzieci, życiowo wyrobioną, wyrozumiałą dla dziwactw męża, wniosła mu przy tym posag i wspaniały, historyczny zamek Hawarden, który stał się jego rezydencją. Wprowadziła poza tym męża do rodziny wyżej stojącej towarzysko, lecz odradziła mu tytułować jej wuja *Sir'em*. — „W naszej rodzinie każdy ma tytuł *sir'a* — więc się tego nie podkreśla". I przyjęła do wiadomości, że pragnieniem jej przyszłego męża było zostać duchownym, skoro jednak ojciec skierował go do parlamentu postanowił on swe aspiracje chrześcijańsko-religijne wprowadzić do polityki — „*make political life truly christian*".

Zgodnie z tym postanowieniem Gladstone uznał za swe życiowe zadanie wyrównać krzywdy społeczne i pomagać ubogim. Ze szczególnym przejęciem odnosił się do zagadnienia prostytucji. Nie będąc w stanie usunąć radykalnie tej plagi, pragnął ratować przynajmniej jej ofiary. Wspólnie z żoną fundowali szpitale i przytułki dla prostytutek, przy tym on sam werbował je indywidualnie do tych zakładów. Przez wiele lat wędrował nocami przez ciemne uliczki Mayfairu, pozwalając się zaczepiać lub sam zaczepiał „społeczne ofiary", aby prowadzić je do ... swego domu, gdzie żona jego z nim razem karmiła je, umieszczała w przygotowanym pokoju na noc i nazajutrz posyłała do przytułku lub do pracy. Często „ofiara społeczna" najadłszy się i wyspawszy, przebrana w nową suknię, uciekała z powrotem na ulicę. Wówczas Gladstone, pomiędzy Radą Ministrów i posiedzeniem Izby Gmin, — poszukiwał pupilki po bardziej znanych zakładach użyteczności publicznej.

To paradoksalne zjawisko premiera wodzącego się „po Londynie" z dziewczętami ulicznymi, mające coś z dostojewszczyzny przetransportowanej na bruk londyński, nie mógł ujść uwagi przyjaciół oraz nieprzyjaciół Gladstona, tym bardziej, że dawało sposobność do szantażu lub napaści.. W osobistych wspomnieniach Gladstona znajduje się notatka z dnia 10 maja 1853 r. jak to, po wyjściu z opery w Covent Garden i odłączeniu się od żony i towarzystwa dla udania się na „połów" ofiar społecznych, podczas rozmowy z młodą dziewczyną na Long Acre — przystąpił do nich jakiś młodzieniec, żądający od Gladstona pieniędzy albo stanowiska i towarzyszył im, żebrząc lub grożąc, przez Soho aż do Sackwille Road, gdzie Gladstone chciał go już przepędzić laską, aż znalazł się policjant, któremu kazał go aresztować!

Ma się rozumieć w klubach „pub'ach" wrzało od kpin, dowcipów, plotek oraz insynuacji co do szczerości intencji humanitarnej działalności Premiera. Do jego kancelarii napływały stosy listów, z których niektóre odważał się odczytać mu oddany jego sekretarz Edward Hamilton. Wówczas Gladstone z uśmiechem wyższości wzruszał ramionami. Na prośbę żony i przyjaciół obiecywał zaniechać swego procederu, lecz mimo świadomości jego ujemnych pozorów i szkody jaką mu wyrządza, ulegał obsesji i znów spotykano go nocą w towarzystwie prostytutek. Nie przypuszczał wówczas Gladstone że za swój samarytanizm zapłaci kiedyś niełaską Królowej Wiktorii, podejrzewającej go o faryzeizm, nie tylko w jego osobistych obyczajach ale i w polityce.

RZECZYWISTYM dopustem Bożym Gladstona była jego siostra Katarzyna, od urodzenia chorowita, nerwowa „narkomanka", skłonna do mistycyzmu, która pod wpływem Dr Wisemana, późniejszego kardynała, przeszła na katolicyzm! Był to cios dla niedoszłego protestanckiego „clergymana", — „record of our shame", jak pisał do ojca, żądając, by ją na zawsze wydalił z domu. Gdy leczyła się w Szwajcarii, Gladstone zmuszał ją do powrotu na łono kościoła anglikańskiego groźbą pozbawienia jej środków do życia. Ten „przymus religijny" wzmagał stan chorobliwy nerwowej Miss Gladstone, tak że nie czując się bezpieczna nawet w domu ojca przed terrorem brata ukryła się w katolickim klasztorze w Laemington. Ojciec bardziej chrześcijańsko pobłażliwy wydobył ją stamtąd i oddał pod opiekę neurologa Dr. Millera, w Edynburgu. Gdy w następstwie nerwowego ataku Miss Gladstone straciła mowę i władzę rąk, Dr. Miller zgodził się by Kardynał Wiseman odprawił przy jej łóżku Mszę św. i błogosławił ją świętymi relikwiami. I nagle poczęła ruszać rękami, otworzyła usta i przemówiła. Gladstone nigdy nie uznał uzdrowienia swej siostry za cud jak chciała tego opinia katolicka, lecz tylko za przypadkowy zbieg okoliczności. Los gotował dla Gladstona w związku z jego siostrą jeszcze jedno ciężkie przeżycie. Oto odwiedzając kiedyś ojca, przekonał się, że korzystała ona z obfitej domowej biblioteki i to książek z dziedziny teologii protestanckiej, w sposób nie mający z ich czytaniem nic wspólnego i w miejscu nieprzeznaczonym do lektury... List, który po tym spostrzeżeniu Gladstone wystosował do siostry grzmiał wszystkimi piorunami potępienia.

GLADSTONE był przez lat *30* — z niewielkimi przerwami — członkiem rządu W. Brytanii, i czterokrotnie długotrwałym jej premierem. Umiał patrzeć daleko przed siebie i przystosowywać się do sytuacji. Jego dziełem był rozdział kościoła od państwa w Irlandii; przygotował zmiany w konstytucji Anglii, które później wprowadził w życie Edward VII; rozciągnął protektorat Anglii na Egipt i nie dopuścił do wojny z Rosją o Turcję... Ale w ciągu ostatnich lat swych rządów spotykał wszędzie na swej drodze nieubłaganego przeciwnika Disraëlego. Gladstone nie znosił go fizycznie. Gdy czasem promień słońca padł na ławy Izby Gmin, twarze jej członków stawały się jeszcze bielsze, z wyjątkiem twarzy Disraelego, którego „arabska cera", zabarwiała się wówczas odcieniami bronzu. Gladstone uważał Disraëlego za wcielonego diabła; Disraëli miał Gladstona za fałszywego bigota. Gladstone zarzucał Disraëlemu, że kieruje się ambicją, gdy on ma na względzie tylko obowiązek. Obaj byli biegli w zagadnieniach ekonomicznych i religijnych, ale czytając Danta, Gladstone starał się wchłonąć w siebie *Niebo* a Disraëli zagłębiał się w *Piekle*. Ten „obcy" nie miał w zasadzie prawa zabierać głosu w imieniu Anglii, jednakowoż po wojnie rosyjsko-tureckiej, uratował ją i Europę od Rosji. „*Der Jude, der ist ein Mann*" miał wówczas powiedzieć o Disraëlim Bismarck. Co gorsze — Disraëli zyskiwał coraz większe uznanie i względy Królowej Wiktorii, która nadawszy mu tytuł Lorda Beaconsfielda, uważała go za swego najlepszego doradcę. Często przyjmowała go prywatnie i w swym gabinecie zawiesiła jego portret.

Chcąc skończyć z Disraëlim Gladstone wyzwał go na ubitą ziemię walki wyborczej pod hasłem sprawy Kościoła i — przegrał sromotnie. Postanowił więc usunąć się ostatecznie z polityki. Było to 1 marca 1894 r. Gladstone miał 85 lat. Obowiązkiem jego było złożyć pożegnalną wizytę Królowej. Wybrał się dnia 2 marca do Windsoru razem z żoną, zgodnie z tradycją zaproszony na obiad i na noc. Lecz Królowa Wiktoria nie zeszła na obiad i nie ukazała się nawet nazajutrz przy śniadaniu. Wówczas Mrs. Gladstone zgłosiła się do Królowej, usiłując zapewnić ją o niezmiernej lojalności jej męża. Królowa wysłuchała jej uprzejmie lecz bez przekonania i, gdy odchodziła we łzach, jakby na odczepne ucałowała ją w policzek...

W. Gladstone żył jeszcze cztery lata, zajmując się już tylko swym ogrodem w Hawarden. W ten sposób, przed zejściem z tego świata zrównał się z Wolterem, którego nie cierpiał jako ateistę, posłuchawszy bezwiednie jego rady udzielonej w *Candide*, że najwłaściwszym zajęciem każdego człowieka przed śmiercią jest... hodować swój ogród! Bezbożnik Wolter i purytanin Gladstone spotkali się pod koniec życia w pojęciu jego wartości.

Książę Walii, późniejszy Edward VII, w dowód uznania i czci dla Gladstona wziął udział w jego pogrzebie jako *pall-bearer* (jeden z symbolicznie niosących trumnę, przez dotykanie pokrywającego ją całunu). Królowa Wiktoria skarciła syna za ten gest — miał wówczas lat 57 — telegrafując doń z zapytaniem za czyją radą tak postąpił i na podstawie jakiego precedensu? Ks. Walii odpowiedział, że w tym wypadku nie zasięgał niczyjej rady i nie oglądał się na żaden precedens.

Powyższe szczegóły z życia W. Gladstona, przywołują na myśl znaną opowieść A. Maurois'a ze *Silences du Colonel Bramble:* Człowiek, który popełnił morderstwo czuje potrzebę przyznania się do zbrodni w nadziei ulgi. Wszedłszy do kościoła anglikańskiego prosi pastora o wysłuchanie go, lecz ten na wiadomość że przed nim klęczy morderca przerywa mu jego wyznanie i wahając się czy nie jest jego obowiązkiem jako gentelmana oddać go w ręce policji — wyrzuca go z kościoła. Ów człowiek, w swej dalszej wędrówce, wchodzi do kościoła katolickiego i uprzedzając, że nie jest katolikiem, prosi księdza o spowiedź. Klęknąwszy przed nim wyznaje:

— „Ojcze — popełniłem morderstwo!".

I w ciszy kościoła słyszy głos księdza:

— „Ile razy mój synu?"

Gdyby Królowa Wiktoria znała tę opowieść, może by lepiej rozumiała swego długoletniego premiera i łatwiej go rozgrzeszyła...

KRZYŻÓWKA Nr 84/54

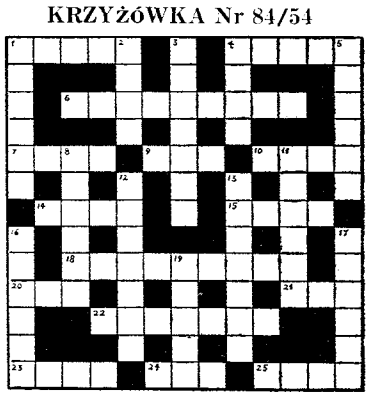

Znaczenie wyrazów.

Poziome: 1) miasto, rzeka, krewny; 4) rodzaj dywanu; 6) zwycięzca spod Obertyna; 7) rasa psa; 9) imię osoby pod 6) poziomo; 10) część żaglowca; 14) podgardle u ptaka; 15) miara objętości (wspak); 18) hetman Zygmunta Starego, zwycięzca spod Orszy; 20) i 21) stolica w Azji; 22) historyk grecki w starożytności; 23) i 25) ciężki kawalerzysta; 24) stolica fenicka.

Pionowe: 1) tancerka biblijna; 2) góry we Francji; 3) niedopuszczanie statków do portu; 4) słowo, którym w „Dziadach" Wileńskich odpędza się duchy; 5) imię bohatera Trylogii; 8) nie będzie się nim, według przysłowia, w swoim własnym kraju; 11) prowincja włoska, lub imię osoby pod 17) pionowo; 12) ponoć ideał Francuza; 13) napój; 16) zając; 17) kobieta, kapitan 25 pułku piechoty, bohaterka Powstania Listopadowego; 19) pęta.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Nr 82/54.

Poziome: 1) Prater, 4) majdan, 7) i 10) Abukir, 9) klucz, 11) Somali, 13) odgłos, 15) iskra, 16) toga, 18) Este, 20) pniak, 23) Egina, 24) czart, 25) Troja, 26) Jerzy Żuławski.

Pionowe: 1) Praksyteles, 2) i 5) tuja, 3) Rollison, 4) machorka, 6) Naruszewicz, 8) Ulm, 10) kół, 12) i 14) Lida, 17) Guliwer, 19) Sejanus, 20) plat, 21) ulotki, 2) kita.

Życie kulturalne w kraju i na obczyźnie

NAWIAS MIĘDZY ODCZYTAMI

Czujni obserwatorzy „ruchów ludnościowych", czyli po prostu migracji polskich mieszkańców Londynu stwierdzają stopniowe wyludnianie się dystyngowanego Earls Courtu na rzecz bliższych stałych warsztatów pracy zarobkowej dzielnic mieszkalnych, niejako półksiężycem ciągnących się od Paddingtonu i Kilburnu, poprzez Nort Kensington i Willesden ku Hammersmith czy Ealingowi. Nic dziwnego, że podnoszą się coraz częściej głosy o zbliżenie się ośrodków pracy kulturalnej i społecznej do miejsc masowego osiedlenia się żywiołu polskiego.

Przewidująca „polityka" apolitycznej polskiej YMCA sprawiła, że siedziba tej instytucji społeczno-kulturalnej znalazła się po zmianie lokalu własnego bodaj najbliżej geometrycznego środka wspomnianego półksiężyca. Nic też dziwnego, że po okresie niepewności, wywołanym częściowym straceniem kontaktu z dawnym zapleczem terenowym, obecnie działalność oświatowo-popularyzacyjna tego stowarzyszenia znów się ugruntowuje.

Skupia się ona w dwóch rodzajach okresowych imprez: wieczornic odczytowych i wystaw. Oczywiście, oprócz stałej, rozległej działalności klubowej, towarzyskiej, czytelniczej, bibliotecznej, wydawniczej i prowadzonej w kołach dyskusyjnych, lub w postaci wycieczek po muzeach, w kole tańców narodowych, w kole fotograficznym, szachowym, oraz w różnych dziedzinach sportu.

W ramach działalności klubu prowadzonego przez p. B. Lesieckiego odbyła się ostatnio wystawa grafiki polskiej w afiszach przedwojennych dotyczącej głównie turystyki. Zebrano kilka dziesiątków eksponatów, świadczących o wysokim poziomie tego działu plastyki stosowanej, reprezentowanej przez takie nazwiska, jak Osiecki, Gronowski, Norblin, Man, Wasilewski i w.in. Pokaz ten bezpośrednio zluzowała Międzynarodowa Wystawa Polskiej Fotografiki. Wobec ambitnego założenia objęcia za jednym zamachem całego uchodźstwa naszego, gdziekolwiek zdołało ono osiąść, organizatorzy natrafili na różne trudności, gdyż nie wszystkie eksponaty z odległej Australii, czy nawet bliższych Niemiec zdążyły na otwarcie, tak iż wystawa ulega stopniowemu uzupełnieniu. Niemniej już dzisiaj można oglądać kilkadziesiąt eksponatów o bardzo urozmaiconej tematyce i na ogół wyrównanym poziomie technicznym. Przeważnie występują nazwiska autorów nieznanych w Londynie, oprócz J. Markiewicza; między innymi nadesłali swe prace: Grzelachowski, Krygier, Kupiec, Kinasz, Olesiński, Oskarbski, Sapieha, Pieruski i Wasung. Wystawa otwarta będzie do końca bm.

★

Amatorów wycieczek muzealnych, prowadzonych przez prof. M. Szyszko-Bohusza i członków zebrań dyskusyjnych, czekała nowa atrakcja po powrocie p. Szyszko-Bohusza z Paryża, Genewy i Fryburga, gdzie śledził on najnowsze przejawy w plastyce i na zebraniu w dniu 13 bm. dzielił się swymi obserwacjami.

★

W ramach własnej akcji odczytowej YMCA urządziła w ub. środę **„Gawędę o dziennikarzach i prasie powojennej"**. Wygłosił ją jeden z seniorów dziennikarstwa polskiego na obczyźnie, red. Stefan Benedykt, b. legionista, potem czynny przez długie lata międzywojnia, jako sprawozdawca parlamentarny w Warszawie, a podczas kampani włoskiej 2 Korpusu w referacie prasy i kultury, ogłaszając niejednokrotnie artykuły i wspomnienia na łamach **„Orła Białego"**. W swej bogatej karierze prasowej, której zarysy podał na wstępie starannie przygotowanej gawędy, prelegent zetknął się dosłownie z każdą wybitniejszą jednostką, znając prasę równie dobrze z łamów pism, jak i najskrytszych zakamarków lokali redakcyjnych.

W swej wzmiance nadmienimy tylko, że przez wspomnienia jego przewijały się liczne postacie nadal czynne na obczyźnie, jak dwaj byli redaktorowie **„Kuriera Porannego"** z różnych okresów — Ferdynand Goetel i Ryszard Piestrzyński, K. Wierzyński, członek redakcji tzw. prasy czerwonej, Ludwik Rubel, redaktor polityczny **„IKC"** w Krakowie, R. Boski z **„Robotnika"**, zmarły w Afryce, K. Wrzos pracujący w brazylijskiej prasie rządowej, St. Stroński— redaktor **„Rzeczypospolitej"** i **„Warszawianki"**, J. Walewski b. dyr. **„Bluszczu"**, czy dr Z. Stahl — publicysta **„Gazety Polskiej"**. W nadmiarze materiału prelegent musiał pominąć m.in. polskie agencje prasowe, tak iż nie padłu nazwiska b. dyrektora PAT i jej dawnych redaktorów. Gawęda wzbudziła słuszne zainteresowanie — wśród młodych, nieznających tego okresu, którym gawęda była dedykowana, jak i wśród starszych kolegów, którym zawsze miło wspomnieć czasy rozkwitu wolnej prasy polskiej.

Skoro jesteśmy przy działalności YMCA nie sposób pominąć aktualnego odłamu jej działalności o ważnym znaczeniu dla wychowania młodzieży. Należą doń systematycznie od czterech lat urządzane co roku letnie obozy dla chłopców od 12 do 18 lat. W tym roku przewidziany jest trzytygodniowy obóz wyczynkowo-sportowy (26. VII — 16. VIII) w Botley nad rzeką Hamble. Przewidziany jest urozmaicony program zajęć w zespołach i rozrywek, przy czym położony jest nacisk na pogłębienie wiadomości z przedmiotów ojczystych. Koszt tygodniowy wynosi 55/- od osoby. Po tym obozie przewidziany jest drugi pod Ostendą w Belgii od 2 do 23 sierpnia br.

★

Nie ustaje też działalność wydawnicza Polskiej YMCA, która obejmuje wydawnictwo miesięcznika pn. **„Poradnik Kulturalno-Oświatowy"**, którego ostatni zeszyt podwójny poświęcony jest głównie urządzeniu wnętrza domu polskiego zagranicą. Nadto wydawana jest wespół z SPK **„Biblioteczka teatralna"** obejmująca teksty sztuk dla teatru amatorskiego i wydawnictwa instruktywne jak wydane ostatnio Ireny Karpińskiej **„Polskie stroje ludowe na scenie"**, które warte są osobnego omówienia.

Tak po tym nawiasie poświęconym bardzo różnorodnej działalności, jaką rozwija znów jedna z najruchliwszych a zarazem równomiernie wytrwałych instytucji społeczno-kulturalnych, będziemy mogli znowu powrócić do naszego rejestru ożywionej działalności odczytowej, która nieustannie narasta. (n)

POLSKI PAWILON NA KIERMASZU W RZYMIE

Rzym, w czerwcu.

Rzym jest miastem wielkiego przepychu, ale też i wielkiej nędzy na przedmieściach, np. na ul. Quadraro, która nie leży na szlaku zainteresowań turystów. Lecz Rzymianie mają też czułe serca i każdy na swój sposób stara się ulżyć ludzkiej niedoli.

Piękną i udaną inicjatywę w tym duchu podjęło Zgromadzenie włoskich sióstr Wniebowstąpienia Najśw. Marii Panny, które prowadzi przy zakonie szkoły aż do liceum włącznie dla dziewcząt warstw zamożnych. Postanowiło ono zorganizować kiermasz międzynarodowy z takim założeniem, że narody uczestniczące w nim, urządzają własnym sumptem swoje pawilony i stoiska, a dochód będzie przeznaczony właśnie na tych najbiedniejszych z ulicy Quadraro.

Kilkanaście narodów było reprezentowanych na kiermaszu, rozmieszczonym w przestronnych ogrodach Zgromadzenia. Architekci, malarze dekoratorzy wykonali efektowne pawilony, starając się przedstawić w nich to, co najbardziej ludowe i najpiękniejsze. W pawilonach wzniesiono stoiska-bary z charakterystycznymi potrawami narodowymi.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności siostry Zgromadzenia zwróciły się do znanego ze swej uczynności przemysłowca, naszego rodaka, przebywającego od przeszło 40 lat w Rzymie, inż. Prokopowicza, z prośbą o przyczynienie się do zorganizowania pawilonu polskiego. Jego to staraniem powstał na kiermaszu pawilon narodowy polski według projektu i w wykonaniu art. malarza Jana Głowackiego. U skraju obszernego czworoboku wydzielonego dla nas w ogrodach stanęło stoisko-chata pod strzechą, a po rogach cztery prostokątne kolumny zdobione elementami polskiej sztuki ludowej. Pośrodku stoliki. Całość na wysokim poziomie artystycznym oddawała wiernie i w sposób miły folklor polski.

W dniu otwarcia kiermaszu pawilon polski otworzył amb. R.P. przy Watykanie, dr. Kazimierz Papée, w obecności szeregu zaproszonych osób. Role gospodyń w tym pawilonie podjęły w polskich strojach narodowych uczennice pierwszej klasy licealnej Zgromadzenia, częstując gości, przeważnie włoskich — polskim bigosem z wódką. Wśród atrakcyj były loteria, tombola itp.

Kiermasz międzynarodowy trwał dwa dni i był naprawdę imponujący. Mimo deszczów i mimo wysokiej opłaty za wejście zwiedziło go wiele tysięcy osób spośród arystokracji, dyplomacji, osobistości rządowych i politycznych, patrycjatu rzymskiego i rodzin uczennic. Pawilon polski, który tchnął ojczystym klimatem, nie w komunistycznej wersji, wzbudzał może szczególną sympatię i uznanie. Z krajów dziś za żelazną kurtyną, oprócz nas tylko Węgrzy wystawili swój pawilon narodowy, będący również przedmiotem żywego zainteresowania.

Cała impreza była naprawdę bardzo udana i bardzo życzliwie przez publiczność przyjęta. **J. Gn.**

POLSKA APTEKA M. STANKIEWICZA

74, DEACON STREET, LONDON, S. E. 17. Tel.: ROD 4628

wysyła wszelkie leki do Polski

Streptomycyna 10 grm.	£1. 6.0	Rimifon 100 tabl.	£0. 9.0
Penicylina 3 mil. ol.	£0.10.0	„ 300 „	£0.16.6
Chloromecetyna 12 caps. ...	£1. 5.9	„ 1000 „	£2.12.0
P. A. S. 500 tabl.	£1.10.0		

Ś.P. ARTHUR GREENWOOD

W Londynie zmarł przed kilkoma dniami poseł do Izby Gmin Arthur Greenwood, który na przełomie sierpnia i września 1939 r. zastępował chorego C. Attlee jako tzw. przywódca opozycji z ramienia Partii Pracy. Wówczas też wygłosił kilka kolejnych mów w obronie Polski i wolności wołając o dochowanie zobowiązań sojuszniczych zaciągniętych przez W. Brytanię.

Greenwood przez swe długie życie — zmarł mając 74 lata — wybił się na czoło działaczy Partii Pracy ciesząc się powszechnym poważaniem także u przeciwników politycznych. Pozostawał zresztą do końca życia we władzach partii. Utrzymywał zawsze żywe stosunki z Polakami, w których obronie wystąpił ponownie w okresie jałtańskim. Przyjaźnił się zwłaszcza z przedstawicielami polskiego socjalizmu.

Pamiętne było jego przemówienie z dnia 2 września 1939, które posiada wartość nieprzemijającą i godne jest przypomnienia także i w dzisiejszych czasach:

„Wierzę, że prawo jest siłą, a nie siła prawem. W duszy ludzkiej znaleźć można iskrę, która chociażby ją poddano torturom i choćby ją czasowo zagłuszono, nie może przecież ulec zniszczeniu. Iskra ta to wola, by pochodnia wolności płonęła zawsze pełnym płomieniem... Spoglądam w przyszłość ... pełen smutku i przygnębienia, które trudno wyrazić w słowach, widząc cierpienia, które muszą być udziałem milionów ludzi. Ale, w głębi serca wiem, że największe cierpienia, najboleśniejsze konanie i ofiary bez granic, nie zabiją wolności i nadziei. Wiem, że wolność zwyciężyć musi".

SOVIETICA

ALFABETYCZNA REWOLUCJA W MOSKWIE

Dnia 9 czerwca ukazały się w prasie moskiewskiej sprawozdania z otwarcia zjazdu sowieckich związków zawodowych, zawierające wręcz rewolucyjną nowość: nazwiska członków rządu ZSRR zostały podane w porządku alfabetycznym. Biorąc pod uwagę przestrzeganie w Moskwie najściślejszego protokołu, odnośnie kolejności nazwisk dygnitarzy, prasa światowa słusznie uznała tę inowację za bardzo istotny fakt polityczny. Już podczas kwietniowej sesji tzw. budżetowej **„Wierchownego Sowieta"** czołowi przywódcy sowieccy figurowali w komunikatach prasowych, według swego hierarchicznego stopnia: Malenkow, Mołotow, Chruszczow, Woroszyłow, Bułganin, Kaganowicz, Mikojan, Saburow, Pierwuchin. Wbrew tej nienaruszalnej tradycji, dnia 9 czerwca ukazała się na łamach **„Prawdy"** i **„Izwiestii"** lista następująca: Bułganin, Woroszyłow, Kaganowicz, Malenkow, Mikojan, Mołotow, Pierwuchin, Saburow, Chruszczow, co odpowiada kolejności alfabetu rosyjskiego.

Jest rzeczą jasną, że to alfabetyczne rozwiązanie przysłania jakąś walkę o kolejność rzeczywistego miejsca w hierarchii Kremla, która to walka nie doprowadziła widać jeszcze do ustalenia się nowego układu, lecz już podważyła dotychczasowy. Czy oznacza to dalszy awans Chruszczowa? A jeśli tak, to czyim kosztem, Malenkowa czy Mołotowa? A może przeciwnie, Chruszczow zaczął tracić na wpływach? Ostatnie jego wystąpienie na kongresie komunistów czeskich w Pradze dnia 13 bm. dokąd przybył, podobnie jak na kongres komunistyczny w Warszawie w charakterze Sekretarza Generalnego Komunistycznej Partii ZSRR, nie wskazywało by na to. Można więc raczej przypuszczać, że chodzi tu o osłabienie pozycji premiera Malenkowa lub ministra spraw zagranicznych Mołotowa. Podczas kongresu komunistycznego w Pradze, Chruszczow wygłosił gwałtowną mowę na tematy międzynarodowe, wygrażając mocarstwom zachodnim w tonie znacznie ostrzejszym, niż zwykli to czynić Malenkow lub Mołotow.

CO KOMUNIŚCI PISZĄ O MONTE CASSINO?

Wobec olbrzymiej popularności wśród społeczeństwa polskiego zwycięstwa pod Monte Cassino, komuniści nie odważyli się atakować ani samego zwycięstwa, ani biorących w nim udział polskich żołnierzy. Skierowali natomiast całą nienawiść przeciwko gen. Andersowi.

Z okazji 10-lecia zwycięstwa, **„Trybuna Ludu"** pisze, że „pod Monte Cassino żołnierz polski okrył się chwałą". Zdaniem **„Trybuny"** było to wynikiem intryg Andersa i aliantów, którzy rzekomo szli do Rzymu „na kolanach". „Andersowi żołnierz polski potrzebny był po to, by wjechać do kraju na słynnym już we wszystkich kabaretach białym koniu — pisze „Trybuna". — Dlatego złamał sojuszniczą umowę, odmówił walki z wrogiem u boku żołnierza radzieckiego i poprowadził żołnierzy 2 Korpusu na Bliski Wschód". Komuniści nie mogą zapomnieć gen. Andersowi, że nie oddał polskich żołnierzy na łaskę i niełaskę bolszewickich dowódców. Zdaniem **„Trybuny"** również Anders zawinił, że wielu bohaterów spod Monte Cassino nie poszło w niewolę bolszewizmu. „Nie doszli, pisze „Trybuna", bo im ci sami dowódcy zagrodzili drogę do wyzwolonej Polski, kłamiąc i tumaniąc, strasząc i grożąc. Andersowi żołnierz polski wciąż był jeszcze potrzebny, bo wciąż mu się marzył biały koń".

„Trybuna" i inne gazety komunistyczne w Polsce gwałtownie atakują obchodzenie rocznicy bitwy o Monte Cassino, twierdząc, że jest to „widowisko, kiedy wodzireje emigracji, zbankrutowani politykierzy i rutynowani zdrajcy próbują wykorzystać patriotyzm, bohaterstwo i przelaną krew polskiego żołnierza dla nadania sobie rozgłosu i znaczenia".

Co o tych bzdurnych obelgach sądzą Polacy w Kraju — łatwo się domyśleć.

(IC)

TRAGEDIA „BIAŁYCH" ROSJAN W CHINACH

Komuniści chińscy dopełnili ostatnio nowego aktu uległości wobec Moskwy, choć stosunek tego rodzaju jest często stawiany pod znakiem zapytania przez polityków i publicystów angielskich, a za nimi przez niektórych polskich. Okazało się bowiem, że grupa „rosyjskich specjalistów", którą odesłano z Chin do ZSRR, jak informowały o tym oficjalne źródła komunistyczne, była w rzeczywistości czymś zupełnie innym. Według wiadomości z kół ONZ w Genewie, chodziło naprawdę o deportację przymusową około 15 tysięcy europejskich uchodźców z Rosji Sowieckiej, przeważnie „białych" Rosjan, których rozpaczliwe starania przedostania się z terenu czerwonych Chin do krajów wolnych spełzły ostatecznie na niczym.

Do niedawna komunistyczny Pekin wyrażał gotowość wypuszczenia nieszczęśliwych uchodźców z sowieckiego „raju" do krajów świata wolnego, lecz trwały jeszcze starania Międzyrządowego Komitetu dla Europejskiej Migracji oraz Wysokiego Komisarza dla Uchodźców ONZ, aby uzyskać potrzebne środki dla osiedlenia tej 15 tysięcznej grupy. Starania te nie spotkały się z wielką gorliwością zachodnich rządów i tymczasem „wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły". Rząd pekiński deportował uchodźców z Rosji i oddał ich z powrotem w ręce sowieckie. Krok ten komentuje się w Genewie, jako nowy akt uległości chińskich komunistów wobec Sowietów i zapowiedź ostatecznego zapuszczenia „żelaznej kurtyny" pomiędzy Chinami kontynentalnymi a światem wolnym. W świetle tej zaostrzającej się tendencji tym dziwniej wygląda polityka angielska, stawiająca niezmiennie na rzekomą samodzielność międzynarodową Pekinu i jego niezależności od Moskwy.

(s).

Popieraj TEATRY POLSKIE!

KRONIKA TYGODNIA

14 czerwca

P. Mendés-France, zwolennik zaprzestania wojny w Indochinach i jeden z przywódców radykałów, otrzymał misję utworzenia nowego rządu.

W Waszyngtonie wydano komunikat o wynikach rozmów brytyjskiego ministra zaopatrzenia i amerykańskiego ministra obrony narodowej w sprawie współpracy anglo-amerykańskiej w zakrasie rozwoju kierowanych pocisków.

Nowy francuski rezydent generalny w Maroku Lacoste przybył do Casablanki.

Były francuski rezydent generalny w Maroku, 77-letni gen. Nogues, skazany na 20 lat więzienia przez najwyższy sąd francuski za współpracę z Niemcami i reżymem Vichy, przybył z wygnania z Hiszpanii do Francji i oddał się w ręce władz.

Francuska misja lotnictwa cywilnego udała się do Moskwy.

W parlamencie Południowej Afryki ustawa wprowadzająca odebranie równości politycznej ludności mieszanej w prowincji Cape nie uzyskała dostatecznej ilości głosów.

Królowa Elżbieta II na zamku w Windsor wręczyła prem. Churchillowi uroczyście insygnia Orderu Podwiązki.

Wysoki komisariat Stanów Zjedn. w Niemczech oznajmił, że w porcie w Hamburgu przychwycono okręt, przewożący amunicję do Guatemali, rządzonej przez komunistów.

Prasa amerykańska donosi na podstawie przemówienia Dullesa w Los Angeles, że linia obronna Stanów Zjednoczonych na Pacyfiku, obejmująca szereg wysp, powiększona została o Południową Koreę, Syjam i Malaje. W razie ataku komunistycznego na te terytoria, Stany Zjedn. interweniować będą łącznie z sojusznikami lub same.

Gen. Grunther, naczelny dowódca wojsk sprzymierzonych w Europie przemawiał na tajnym posiedzeniu Komisji Spraw Zagr. Kongresu Amerykańskiego. Jeden z członków komisji oświadczył następnie, że sztab wojsk sprzymierzonych w Europie zajmuje się badaniem skutków broni atomowej w ewentualnej wojnie europejskiej.

W Niemczech powstał tzw. „Ruch Narodowy dla zjednoczenia Niemiec". Ma on się zajmować sprawą „zjednoczenia ziem niemieckich", przyczyn, jak wynika z przemówienia p. Kaisera, ministra dla zagadnień wszech-niemieckich, sprawa ziem za Odrą i Nysą, należących dziś do Polski, nie ma być pomijana.

Min. Eden wypowiedział się wobec Mołotowa za odroczeniem konferencji genewskiej wobec kryzysu we Francji.

15 czerwca

Premier Churchill oznajmił, że w dniu 24 czerwca udaje się wraz z min. Edenem do Waszyngtonu dla przeprowadzenia rozmów z prezydentem Eisenhowerem.

Delegacje państw niekomunistycznych w Genewie wydały oświadczenie, że o ile komuniści nie zmienią stanowiska w kilku zasadniczych sprawach, dotyczących Korei, dalsze trwanie konferencji będzie bezcelowe.

W Londynie zmarł jeden z brytyjskich magnatów prasowych Lord Camrose, wydawca i naczelny redaktor konserwatywnego „Daily Telegraph".

Wybory Prezydenta Niemiec Zachodnich odbędą się tym razem w Berlinie w dniu 17 lipca.

Prezydent Eisenhower wydał oświadczenie na rzecz wolności Litwy, Łotwy i Estonii w związku z 13-rocznicą wielkich deportacji sowieckich z krajów bałtyckich.

Premier Pakistanu przybył do Aten.

Chruszczow oświadczył, że Rosja wyprzedziła swoich wrogów w budowie bomb wodorowych.

W Moskwie ogłoszono o skazaniu na 25 lat ciężkiego więzienia b. oficera japońskiego, oskarżonego o uprawianie szpiegostwa na rzecz Ameryki.

9 czerwca

Komisja Spraw Zagranicznych francuskiego Zgromadzenia Narodowego 24 głosami przeciw 18 wypowiedziała się przeciwko ratykikacji traktatu o Europejskiej Wspólnocie Obronnej.

P. Mendes-France, przemawiając w parlamencie francuskim, zaatakował ostro politykę rządu w Indochinach i sposób prowadzenia wojny.

Artur Greenwood, jeden z zasłużonych przywódców Labour Party, zmarł w Londynie. Słynne pozostały jego wystąpienia w parlamencie brytyjskim w dniach 2 i 3 września 1939 r., kiedy wypowiadał się gorąco za natychmiastowym niesieniem pomocy napadniętej przez Niemców Polsce.

P. Bedell-Smith, główny delegat Stanów Zjednoczonych w Genewie, polemizując ostro z Mołotowem, przypomniał mu cios zadany państwom bałtyckim w roku 1939, oraz traktat zawarty przez Mołotowa z Hitlerem i wymierzony przeciw Polsce.

Dwóch rzymsko-katolickich księży czechosłowackich zostało skazanych przez sąd komunistyczny na długoletnie więzienie za utrzymywanie „kontaktu z Watykanem".

Premier Pakistanu Mohammat Ali, przybył do Turcji.

Komisja Międzynarodowej Organizacji Pracy postanowiła nie uznać przedstawicieli tzw. pracodawców z krajów zagarniętych przez komunistów za pełno-prawnych członków tej Organizacji. Jak wiadomo, w krajach komunistycznych wolnych pracodawców w ogóle nie ma.

Belgijski minister spraw zagranicznych wniósł protest z powodu ostrzelania przez samolot sowiecki belgijskiego samolotu cywilnego, lecącego między Gratzem i Zagrzebem.

10 czerwca

Minister Eden złożył po raz pierwszy w Genewie oświadczenie, w którym wyraził się pesymistycznie co do dalszych losów odbywającej się tam konferencji.

Prez. Eisenhower w czasie konferencji prasowej wyraził opinię, że główna siła komunizmu polega na jego jedności działania wymuszonej siłą, gdy tymczasem w obozie zachodnim, takiej jedności nie ma. Prezydent uważa, że sytuacja międzynarodowa jest poważna.

Czterech zachodnich berlińczyków, porwanych przez komunistów, stanęło przed najwyższym sądem komunistycznym we Wschodnich Niemczech.

11 czerwca

Dulles oświadczył, że choć Stany Zjednoczone gotowe są do samodzielnego działania w razie otwartej agresji chińskiej, to jednak w wojnie indochińskiej interweniować będą tylko pod pewnymi warunkami, m.in., że niepodległość państw indochińskich będzie zapewniona, oraz że Francja nie wycofa się z walki przed odniesieniem zwycięstwa.

Min. Eden zaznaczył w Genewie, że o ile nie znajdzie się szybko sposobu rozwiązania trudności w sprawie Korei, dalsze trwanie konferencji będzie bezcelowe.

Z zeznań Pietrowa, b. członka ambasady sowieckiej w Australii, wynikałoby, że 70 osób zamieszanych jest w ten czy inny sposób w sowieckiej akcji szpiegowskiej.

Parlament turecki ratyfikował jednomyślnie układ z Pakistanem.

Egipt i Arabia Saudyjska zgodziły się ustanowić wspólne dowództwo dla swoich wojsk.

W Waszyngtonie zakończyły się obrady przedstawicieli sztabów głównych mocarstw zachodnich. Omawiali oni sytuację wojskową w Azji.

12 czerwca

Rząd p. Laniela we Francji został obalony 13 głosami większości. Rząd zgłosił swoją dymisję. Trwał on blisko rok.

Min. Eden przeprowadzał poufne rozmowy z Mołotowem na temat dalszych losów konferencji genewskiej. Stwierdzono, że rozmowy te nie doprowadziły do „żadnego wyniku".

Na placu św. Piotra w Rzymie odbyła się w obecności Papieża uroczystość kanonizacji pięciu nowych świętych, m. in. 14-letniego Włocha, Domenico Savio.

13 czerwca

„Prawda" moskiewska doniosła, że sowiecki Sąd Najwyższy skazał na 25-letnie ciężkie więzienie dwóch „amerykańskich szpiegów i dywersantów". Z nazwisk wynika, że chodzi tu o dwóch obywateli sowieckich.

Król Arabii Saudyjskiej przybył z oficjalną wizytą do stolicy Jordanii — Ammanu.

Grotewohl, premier wschodnich Niemiec po powrocie z Moskwy, oświadczył, że doradzał Malenkowowi, by rozważył możliwość nawiązania „ściślejszych stosunków gospodarczych i kulturalnych" z Zachodnimi Niemcami.

FIASKO KONFERENCJI W GENEWIE

(dokończenie ze str. 1)

Nawet najmniejsza, lecz oficjalna zmiana polityki Indii w kierunku przeciwstawienia się dalsze ekspansji komunizmu w Azji, zamiast dotychczasowego neutralizmu, może mieć na kontynencie azjatyckim bardzo doniosłe i dodatnie skutki.

Z tych względów decyzja Eisenhowera i Dullesa dostarczania Indiom pomocy gospodarczej bez stawiania warunków politycznych i pomimo różnic politycznych jest oparta na słusznych przesłankach.

CO NASTĄPI bezpośrednio po zbliżającym się zerwaniu rokowań w Genewie? Komuniści zapewne będą nadal starali się pogłębiać i rozszerzać swe zdobycze wojskowe w Indochinach, co zresztą czynili przez cały czas trwania konferencji. Francuzi mogą się wycofać z Hanoi, ale uczynią największy wysiłek, by uratować swój korpus ekspedycyjny przed losem, jaki spotkał obrońców Dien Bien Phu. Należy sądzić, że Amerykanie im w tym pomogą. Tyle można powiedzieć na razie. Dulles określił ostatnio amerykańską politykę dość jasno, zdaniem *„Timesa"* aż nadto jasno, gdyż utrudni to dyplomatyczne manewrowanie. Przeciwnik powinien przecież być trzymany w obawie przed niespodziankami. Dulles musi jednak liczyć się w wielkiej mierze z amerykańską polityką wewnętrzną. Określił on pięć warunków, niezbędnych do tego, by Stany Zjednoczone interweniowały zbrojnie w Indochinach. Warunki te są następujące: prośba o interwencję ze strony prawowitych władz danych krajów; zapewnienie całkowitej niepodległości Vietnamu, Laosu i Kambodży; oficjalne zainteresowanie się daną sprawą przez O.N.Z.; współdziałanie innych narodów na tym obszarze; zapewnienie, że Francja nie wycofa się z Indochin przed wygraniem wojny.

Łącznie wszystkie te warunki są trudne do osiągnięcia. Oświadczenie Dullesa osłabia zatem widoki amerykańskiej interwencji w Indochinach. Z najwyższych amerykańskich czynników wojskowych tylko przewodniczący szefów sztabów sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych, adm. Radford, uchodzi za zwolennika interwencji. Szef sztabu sił lądowych, gen. Ridgway, wypowiada się przeciw interwencji. Sądzi bowiem, że dla jej skuteczności niezbędne byłoby wysłanie 8 amerykańskich dywizji, których nie ma. Dowódcy lotnictwa uważają, że nie należy interweniować w warunkach politycznych, nie pozwalających na bombardowanie Chin, bo taki zakaz uniemożliwił wygranie wojny w Korei. Czynniki cywilne, odpowiedzialne za gospodarkę skarbową nie chcą zwiększenia wydatków. Ten stan rzeczy w polityce amerykańskiej raczej zachęca kraje komunistyczne do stawiania dużych wymagań i wykorzystywania powodzeń wojskowych.

Na Zachodzie mówi się obecnie o celowości wytyczenia w Azji określonej linii, której przekroczenie przez komunistów musiałoby wywołać wojnę światową. Przypomina się przy tym, że 1939 roku za taką linię została uznana granica polska. Sądzimy, że niewątpliwie istnieje jakaś linia, której przekroczenie będzie stanowić tak wielkie niebezpieczeństwo dla Zachodu, że zdecyduje się na wojnę. Gdyby ta linia nie została wyraźnie ustalona i gdyby nie ogłoszono gotowości Zachodu do rozpoczęcia wojny w wypadku przekroczenia jej przez komunistów, mogłaby powstać sytuacja, którą marsz. Montgomery nazwał wybuchem „wojny przez pomyłkę".

★

Logicznym następstwem fiaska konferencji genewskiej jest przyjęcie przez Churchilla zaproszenia Eisenhowera. Churchill udaje się do Waszyngtonu zabierając ze sobą Edena, który był czołowym aktorem na scenie genewskiej po wycofaniu się z niej Stanów Zjednoczonych. Rozmowy waszyngtońskie będą zapewne próbą ponownego zbliżenia dwóch mocarst anglosaskich i uporządkowania poglądów, które przez ostatnie kilka tygodni cechowały daleko idące rozbieżności.

S. K.

CENA EGZEMPLARZA: w W. Brytanii 1/3 sh. — w Austrii 1.50 Sch. — w Belgii 7 fr. b. — we Frnacji 40 fr. fr. — w Holandii 60 cent. — w Niemczech 60 Pf. — w Portugalii 3 esc. — w Szwecji 90 öre — we Włoszech 60 lir. — w Brazylii 5 Cr. — w Australii A 1sh. 9d. — w Argentynie 2.50 peso — w Kanadzie 20 cent. — w Stanach Zjedn. 20 cent. — w Szwajcarii 60 rp.

PRENUMERATA z przesyłką pocztową (opłata za przesyłkę lotniczą w/g taryfy, płatna z góry). **Zamówienia i należności przyjmują:** W W. BRYTANII: miesięcznie 5/6, kwartalnie 15/-, rocznie £2.17.0; „Gryf"-Publications Ltd., 169-171, Battersea Church Rd., London S. W. 11. Zmiana adresu 1s. — W BELGII miesięcznie: frb. 25, kwartalnie frb. 75; Janina Korab-Brzozowska-Csaky, 62, rue Vanderkindere, Bruxelles (Uccle); wpłacać na rachunek poczt.: J. Korab-Brzozowska-Csaky, nr 7315.20, podając swój dokładny adres. — WE FRANCJI, franków fr.: miesięcznie 160, kwartalnie 450, rocznie 1750; „Libella" Librairie, 12, rue St. Louis en l'Ile, Paris IV, nr konta pocztowego Paris cc 565150. — W HOLANDII, mies. fl. 2.00, kwart. 5.50; wpłacać przek. poczt.: Fr. Malecki, 17 Tulpenlaan, Bij Gelen (Limburg). — W NIEMCZECH: Stanisław Mikiciuk, (13b) München 54, Seehamer Str. 4, Baracke 16 B/2. — W NORWEGII: koron, mies. 4, kwart. 10, rocznie 36; Narvesens Kiosk Kompanii, Postbox 125, Stortingsgata 2, Oslo. — W PORTUGALII: kwart. 35 esc. rocznie 120 esc.; A. Zieliński, Lisboa Central Caixa Postal Nr. 110. — W SZWAJCARII, fr. szw.: mies. 2.00, kwart. 5.50; Maria Wasung, 2, rue Thalberg, Geneve. — W SZWECJI, koron: mies. 3.60, kwart. 10, rocznie 36; Polski Komitet Pomocy, Jungfrugatan 30/II Stockholm. — WE WŁOSZECH, lirów: kwart. 700; W. Zahorski, Associazione Combattenti Polacchi, Nazario Sauro 9, Roma; należność wpłacać przekazem poczt. — W ARGENTYNIE kwart. 32.50 peso, półrocznie 65 peso; Tadeusz Dąbrowski, „Libreria Polaca", Serrano 2076, Buenos Aires. — W BRAZYLII: kwart. Cr. 60, półrocz. Cr. 120; Z. Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana. — W AUSTRALII: „Vistula" (Australia) Pty., Ltd., 77, Pitt St., Sydney; A. Syriatowicz, Lot „E" Madeline str., Fairfield, N. S. W.; „Społem", 85, Wattle Av. Royal Park, Adelaide, S. Australia; prenumerata kwartalna £1.0.0A., roczna £3.10.0A. — W KANADZIE: Tadeusz Sypniewski, 1225 Bernard Ave, W. ap. 15, Montreal; Stanisław Lemański, 570, Aberdeen Avenue, Winnipeg, Man. — W POŁUDNIOWEJ AFRYCE: kwart. 15/-, rocznie 57/-; Prenumeratę przyjmuje bezpośrednio „Gryf" Publications Ltd. — W STANACH ZJEDNOCZONYCH: Prenum. kwart. $2.10, półroczna $4.00; Przedstawicielstwa: L. Dudarew-Ossetyński, „Wilno", 28471 Ventura Boulevard, Agoura P. O. Box 113, California; „Gryf", W. Bieńkowski, 615, Henry Street, Utica N. Y., U. S. A.; **Józef Białasiewicz**, Public Relations, 1165, Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; **Józef Kalenkiewicz**, 2300 Caniff Street, Detroit 12, Michigan.

CENA OGŁOSZEŃ. za jeden cal przez łam £1.
Przyjmuje GRYF PUBL. LTD., 171, Battersea Church Rd., London S. W. 11 lub Carlton Berry Ltd., Gr. Buildings, Trafalgar Sq., W. C. 2.

Nadesłanych rękopisów Redakcja nie zwraca.
Za treść ogłoszeń Redakcja nie bierze żadnej odpowiedzialności.

Adres Redakcji „Orła Białego": 31a Dean Road, London, N. W. 2.
Telefon: WILlesden 6920.
Adres Administracji: „Gryf"-Publications Ltd., 171, Battersea Church Rd., London, S. W. 11., telefon: BATtersea 1445.

Published by „GRYF-Publications Ltd." (Tel. BATtersea 1445). Printed by „Gryf Printers (H. C.) Ltd.", 171, Battersea Church Road, London, S. W. 11. Registered at the G. P. O. as a newspaper.